



<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Zaranie Śląskie. Kwartalnik Literacki”. Rok VI. Zeszyt 1</p>		
<p>Ilość stron oryginału 49</p>	<p>Ilość skanów 48</p>	<p>Liczba plików publikacji 48</p>
<p>Autor Jerzy Szczurek i inni</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Towarzystwo Ludoznawcze w</p>	<p>Skan okładki</p>
<p>Miejsce wydania Cieszyn</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 31 marca 1930 r.</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) czasopismo</p> 	
<p>Wymiary (wys x szer) 24,8 x 19,6 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>XIX w. oraz pierwsze trzy dekady XX w., Józef Podgojski, Julian Przyboś, Ludwik Brożek, Gustaw Morcinek, Józef Kaleta, Hanka Kłosińska, Franciszek Popiołek, Paweł Kubisz, Jacek Koraszewski, Jerzy Lubos, ks. Józef Londzin, Emil Zegadłowicz, Jan Kubisz, Paweł Mitrega, dr Józef Pieter, Jan Galicz, Franciszek Kulisiewicz, Paweł Łysek, Franciszek Niestanik, Stefania Zieleźnikowa, Emeryk Chroboczek, Jan Tacina, Górny Śląsk, Śląsk Cieszyński, Zaolzie, Cieszyn, Ustroń, Puńców, Wisła</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>czasopisma literackie polskie, historia, kultura, folklor, ludoznawstwo, literaci śląscy, bibliografia cieszyńska, literatura śląska, poezja śląska, pieśń śląska, nauka śląska, środowiska literackie, organizacje kulturalno-oświatowe, dziedzictwo kulturowe, inteligencja śląska, młodzież akademicka, sztuka śląska, śląskie zwyczaje i obrzędy, etnografia, recenzje, podania śląskie, motywy ludowe, gwara cieszyńska</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

ZARANIE ŚLĄSKIE

KWARTALNIK LITERACKI



ROK VI

ZESZYT 1



Okładkę przygotował do druku Stan. Sowa. Wzór na okładkę wzięty z motywów ludowych. Przedstawia on malowidło przedniej strony ściany skrzyni z r. 1857, która znajduje się u p. Józefa Podgojskiego w Ropicy.

SPIS TREŚCI:

	Str.
1. Od Redakcji	1
2. Julian Przyboś: Konjunktura literacka na Śląsku	2
3. Ludwik Brożek: O bibliografii cieszyńskiej i rzeczach pokrewnych	4
4. Gustaw Morcinek: W hucie (Fragment)	8
5. Józef Kaleta: Wyrba	13
6. Hanka Kłosińska: Przemiany (wiersz)	15
7. Franciszek Popiołek: Gmina Puńców w Cieszyńskim przed 160 laty	16
8. Gustaw Morcinek: Radość spoczynku — Cisza w kopalni (wiersze)	19
9. Paweł Kubisz: Jak to zbujnickie duchy tańczyły (wiersz)	20
10. Jacek Koraszewski: Kilka słów o młodzieży akademickiej Śląska Opolskiego	21
11. Jerzy Lubos: Brak nam inteligencji górnośląskiej	22
12. Recenzje	26
13. Materiały ludoznawcze	33
14. Słownik	43
15. Pieśni ludowe	45

Redakcją kieruje Komitet:

Michał Asanka-Japoł, Wacław Bandura, Paweł Bocek, Ludwik Brożek, Franciszek Czapla, dr. Ernest Farnik, Jerzy Hadyna, Rudolf Kubalok, Gustaw Morcinek, Paweł Musioł, dr. Józef Pieter, Franciszek Popiołek, Julian Przyboś, Stanisław Sowa, Jerzy Szczurek.

Prenumerata wynosi rocznie 10 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 40 Kcz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: CIESZYN, UL. STALMACHA 14.
P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.

Pojedyncze egzemplarze zamawiać można w księgarniach I. Fiszera w Katowicach, „Dziedzictwa“ w Cieszynie, „Kresy“ w Cieszynie i w księgarni Firuta w Czeskim Cieszynie.

Manuskryptów nie zwraca się.

Wydawca: Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie.

Redaktor odpowiedzialny: **Jerzy Szczurek** w Cieszynie, ul. Bielska 36.

Druk wykonany czcionkami Drukarni »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra« w Cieszynie..

ZARANIE ŚLĄSKIE

ROCZNIK VI.

W CIESZYNIE, 31 MARCA 1930.

ZESZYT 1.

* *

*

„Zaranie Śląskie“ rozpoczyna szósty rok swego istnienia.

Stworzone ongiś, przed laty, przez zasłużonego regionalistę śląskiego, Dr. Ernesta Farnika, rozpoczęło mrówczą pracę, wyodrębnioną, sierocą, usiłując odkryć, pokazać i przekonać o urodzie regionu śląskiego nie tylko nas, Ślązaków, lecz całą Polskę. Przez cztery lata — od roku 1908 do 1912 — borykało się z niepojętymi dla nas dziś trudnościami, wspierane i prowadzone przez ludzi szarych i nieznanych, którym tak bardzo umiłowanym był ów drobny splatec ziem polskiej. Śląscy księża, nauczyciele i górnicy byli jego współpracownikami. Owych kilkanaście numerów wydobyło na boży świat małe, proste, a jednak tak drogie kulturze polskiej cuda, które z pewnością byłyby przepadły na zawsze. Brat nasz w innych dzielnicach Polski dziwował się niejednokrotnie, biorąc do ręki ówczesne „Zaranie Śląskie“, że na zapomnianej przez niego ziemi krzewi się samoistne życie polskie, że istnieje na niej kultura polska, wywodząca się od Piastów. Tamte cztery roczniki rzetelnie spełniły swoje zadanie.

Przed rokiem „Zaranie Śląskie“ za inicjatywą Dr. Ernesta Farnika wskrzeszono ponownie. To, co było ongiś dla nas dalekim marzeniem — spełniło się. Śląsk wrócił do Polski. Warunki istnienia naszego pisma zmieniły się, nie zmieniły się jednakowoż jego cele. Cele te poniekąd nawet wzrosły. Dzisiaj cała Polska widzi na Śląsku tylko kominy, słyszy tylko turkot maszyn i dźwięk żelaza. Patrzy na Śląsk, jak na dziecko, które wróciło do swej matki, niosąc jej w gościńcu nieprzebrane skarby. Duszy jego nie zna jednak. Nadchodzi dopiero chwila, w której przyjdzie jej odkryć i poznać bogactwo duszy i serca śląskiego. „Zaranie Śląskie“ ma być jakoby tą drogą, po której pójdzie owo poznanie. To jest nasz program.

Powtarzamy: Śląsk poza swymi kopalniami i fabrykami nie jest jeszcze odkryty. Toć już Żeromski upominał się o odnalezienie duszy regionów, a przede wszystkim Śląska. Pragniemy, żeby „Zaranie Śląskie“ było jako ta dłoń szcudra, która sięga w głębokie trówały i jej przyskrzynki, wydobywająca z nich tak długo przechowywane nieznanne dotychczas skarby. Niechaj się uraduje serce brata! Przy pomocy tych wszystkich, którzy znaleźli w sobie umiłowanie ziemi śląskiej, pragniemy krzewić regionalizm, będący według słów Żeromskiego „nową rzeczywistością Polski odrodzonej“.

REDAKCJA „ZARANIA ŚLĄSKIEGO“.

Konjunktura literacka na Śląsku.

Dopiero ostatni ubiegły rok podać może baczniejszemu obserwatorowi zagadnienie, które należałoby nazwać: literatura śląska, Śląsk w literaturze, czy też — w szerszym zakresie — „śląskość“ kulturalna. Śląsk, województwo śląskie, zwykło się ogólnikowo mianować „perłą“ Polski, mając w tej banalnej przenośni na myśli jego bogactwo materialne. I oto ten „klejnot“ zaczyna ujawniać dążności do błyszczenia w skarbcu kultury polskiej światłem własnym i oryginalnym.

Zanotujmy kilka przyczyn tego pocieszającego objawu. Wojewoda Grażyński zakłada Muzeum śląskie, organizuje konkurs literacki na temat związany ze Śląskiem, więcej: żywi ambicję wydobywania z samorodnych źródeł regionalnych oryginalnej kultury śląskiej. W „Zaraniu“ cytowano już jego metaforę o „piorunie“, który ma brzmieć w burzy kultury polskiej“. Zapewne refleksem tych dążeń wojewody jest zorganizowanie „Śląskiego związku literatów“, wydawnictwo pierwszego „Rocznika Przyjaciół Nauk“ i t. p. Do ożywienia literackiego na Śląsku przyczynił się zapewne jubileusz „Znicza“ i wydana przez to stowarzyszenie akademickie „Księga o Śląsku“, a także wznowienie „Zarania Śląskiego“.

Spróbuję w tej zarysowującej się konjunkturze literackiej na Śląsku ustalić kilka punktów widzenia. Spodziewam się, że próba obejrzenia „Śląska literackiego“ z paru różnych stron pobudzi dyskusję teoretyczną w tej sprawie.

Śląski regionalizm kulturalny ma przed sobą bodaj najszczęśliwsze horoskopy rozwoju. Górny Śląsk — „kopalnia“ tematów, niewyczerpana i nawskroś nowoczesna. Śląsk Cieszyński — „dziedzina“ oryginalnej ludowości, pięknego krajobrazu. Te dwie części województwa zdają się

uzupełniać wzajemnie: w jednej rozmach industrializacji, wysilek nowożytnej produkcji, w drugiej — ruralizm, kojąca łagodność wzgórz beskidzkich. Fabryki — i chałupy istebniańskie, syreny — i gajdosze, kopalnie — i Czantorja. Ciekawy lud: uparty, twardy „sapieron“ górnośląski i — bacia z pod Równicy. Przebogata „kopalnia“, rozległa „dziedzina“ motywów literackich.

Sytuacja dla twórczego literata tem szczęśliwsza, że ten teren — literacko jest właściwie nietknięty jeszcze. To, czym wszyscy Ślązacy słusznie się szczycą jako dowodem swojego związku z kulturą ogólnopolską, jest publicystyką uświadamiająco-patrjotyczną, ale nie jest w żadnej mierze literaturą artystyczną. Ci szlachetni rymotwórcy i ci pracownicy działacze-przaicy, autorzy sztuk ludowych i ludowych opowieści są zaledwie przedśłowiem literatury. Twórczemu artyście Śląsk odślania niewyzyskane skarby.

Ale tutaj ważne zastrzeżenie.

Jeśli nieużyte bogactwo tematyczne Śląska może być odświeżającym powietrzem obserwacji dla artysty wysokiej klasy, to dla pisarza średniego i tuziemca przedstawia niebezpieczeństwo. Pisarz średni może łącno utonąć w tem obfitem źródle samorodnej odrębności. Kolorowość folkloru i groźna dynamika wielkoprzemysłowej pracy, pulsujące tętno życia i idylliczność zapadłej wioszczyzny, wszystko to może stać się celem ekspresji samym dla siebie, zamiast stanowić jedynie środek do kształtowania własnej wizji rzeczywistości. Tem łatwiej, że droga w kierunku takiej opisowości samej w sobie jest już utartą przez tych właśnie pisarzy-dyletantów, którzy przygotowali Śląsk na przyjęcie Polski.

Należałoby tedy postawić pytanie, czy kontynuowanie takiej pracy kulturalnej od podstaw, literaryzowanie wszelkich objawów rodzimości śląskiej, czy — jest celowe? Pracę taką prowadzi myśl, że z tych drobnych przyczynków, stylizowanych „po naszymu“ anegdot, opowieści, wierszy i nowel wykwitnie kiedyś dzieło na miarę naprawdę artystyczną. A tymczasem należy hodować to co jest, skupiać wszystkich piszących, jacy siedzą na Śląsku.

Ta myśl zapewne zrodziła „Śląski związek literatów“, złożony z tuziemców, kontynuujących taką właśnie zaściankową muzę. Organizacja jest studnią sił w każdej dziedzinie życia, z wyjątkiem tej dziedziny, w której decyduje indywidualność. W sztuce znaczy tylko: talent — albo idea. Twórcza idea artystyczna winna stać na czele każdej organizacji literackiej, jeśli nie ma ona na celu spraw wyłącznie zawodowych, a na Śląsku literatów, żyjących jedynie z pióra, o ile mi wiadomo, niema.

To, co pisze się na Śląsku, posiada wartość względną, znaczenie wskaźnika budzącej się literatury artystycznej. Do utworów tych, prozy i wierszy, nie trzeba przykładać miary obowiązującej dzieła sztuki. Wprawdzie osiadła tutaj Z. Kossak-Szczucka próbowała raz użytkować literacko Śląsk i gwara śląską, ale była to próba nieudana. Drugą, szczęśliwszą próbą wyjścia ze Śląska poza Śląsk jest wydane niedawno „Serce za tamą“ Gustawa Morcinka.

Ale stwierdzenie niedojrzałości literackiej Śląska nie jest rozwiązaniem zagadnienia; nie powinno rozgrzeszać inercji i przeciętności, ni hodować dla niej pobłażliwości. Nietylko talent budzi uśpioną twórczość, w większej mierze czyni to często — idea. Jaką ideę postawić literaturze śląskiej? Ścisłej: z jakim z istniejących i czynnych kierunków artystycznych powiązać Śląsk?

Sprawy tej nie zadowoli prosta odpowiedź: regionalizm. Regionalizm nie jest ideą czysto artystyczną, — to hasło pomocnicze w formułowaniu kierunku. Regionalizm nie podaje, w jakie sposoby i formy artystyczne należy ujmować zakreślony regionem materiał, chodzi mu tylko o podkreślenie odrębności tego materiału; spełnia więc znowuż — rolę spichrza kulturalnego, z którego mają korzystać następcy; czyści artyści. Hasło „regionalizmu“ nie wystarcza.

Z kierunków, działających we współczesnej literaturze polskiej, najbliższym napozór Śląskowi wydaćby się mógł „Czartak“ E. Zegadłowicza. Z dwojakich względów: jest to kierunek wyrosły z regionu i to z regionu pokrewnego śląskiemu: beskidzkiego. „Czartak“ ideologią swoją obejmuje więc w pewnym zakresie i Śląsk, jego część beskidzką. Również ideologia „Czartaka“ przylegałaby do tego, co na Śląsku Cieszyńskim dotychczas uprawiano: ludowość, nieco tylko artystycznie stylizowana, kult t. zw. prostoty, ideał chrześcijański, upatrywany w świątobliwych prostaczkach-powsinogach i t. p. Jeszcze jedna okoliczność przemawiałaby za przyjęciem tego kierunku za „nasz“, śląski: jedyni literaci, którzy wyszli poza Śląsk, sympatyzują z tym ruchem. Kossak-Szczucka bodaj-że formalnie należy do grupy „Czartaka“. Autorkę powieści historycznych skłaniają do kierunku idealizującego „powsinogów“ zapewne upodobania dewocyjne; Gustaw Morcinek też się do Zegadłowicza garnie.

Ale po pierwsze: prostotliwość i klimow-pierniczkowe stylizowanie górala beskidzkiego nie odpowiada rumianej prawdzie życia tego ludu. Nie prowadzi ono do odkrycia z pod szychu poetycznych „wycinanek“ rzetelniejszej prawdy artystycznej. Po wtóre: regionalizm „Czartaka“ przeciwstawia się bardzo bezwzględnie urbanizmowi, wyklina miasto, „siedlisko niecnoty“, apoteozując jedynie wieś,

życie z przyrodą i poczciwych druciarzy; nie ma więc nic wspólnego z tem, co w wyobraźni Polaka łączy się z pojęciem Śląska: z kolumnadą kominów fabrycznych i szybami kopalń.

A więc? Czy nie należałoby powiązać usiłowań literackich Śląska z kierunkiem wręcz temu ruralizmowi przeciwnym? Kierunek ten, aprobujący nowoczesność, wyprowadzający nowe formy artystyczne z form życia współczesnego, możnaby najogólniej nazwać „cywilizacyjnym“. Czy początkujący literaci śląscy nie powinni nawiązać kontaktu z temu grupami, które propagują poezję „społeczną“? Śląsk powinienby stanąć w awangardzie sztuki.

Najbardziej zachodni, najbardziej uprzedmiotowiony i zróżnicowany społecznie region — w służbie najbardziej nowoczesnej ideologii artystycznej. Mówię ogólniej: artystycznej, nie tylko dlatego, że plastyka, a szczególnie architektura nowoczesna ma na Śląsku szerokie pole działania; na Śląsku budujemy najwięcej. Ale także dlatego, że sztuka nowoczesna jest twórczością jednolitą, obejmującą i zespalającą wszystkie działy sztuki, a nawet pracy ludzkiej. Czy więc tak pojęta sztuka nie wyrastałaby naprawdę z ducha tego kraju, który jest w najszybszym marszu ku postępowi i nowoczesności w Polsce?

Ludwik Brożek.

O biblijografii cieszyńskiej i rzeczach pokrewnych.

I.

Przez długie lata odrodzenia narodowego Cieszyn był niejako stolicą duchową całego Śląska Cieszyńskiego. Tutaj miały swą siedzibę wszystkie ważniejsze nie tylko urzędy, ale i towarzystwa, szczególnie polskie, stąd promieniowała myśl polska i do tych najdalszych zakątków naszego kraju, tu rodziły się przeróżne projekty życia narodowego, tu wreszcie były kuźnie, z których wychodziły na cały Śląsk, a często i dalej, gazety i książki polskie.

Cieszyn był w tem szczęśliwym położeniu, że wraz z rozwojem różnych dziedzin swego życia społecznego i kulturalnego, rozwijał się tutaj także niepomiernie przemysł drukarski, tak bardzo dla tego miasta charakterystyczny. Do rozwoju tego przyczynił się między innymi, rzadko spotykany na tak małym terytorjum, żywy ruch piśmienniczy, wydawniczy i księgarski, spowodowany niewątpliwie bujnym życiem narodowym, narażeniem z różnych stron na poważne niebezpieczeństwa.

Na zjawisko to, dotychczas prawie że nieznanne, a bardzo ciekawe i doniosłe, należałoby zwrócić większą uwagę. Być może, że kiedyś zajmie się nim ktoś i obdarzy nas monografią o śląskim drukarstwie, w której oczywiście Cieszyn zajmie jedno z pierwszych miejsc.

Z dziejami cieszyńskich drukarni pozostaje w ścisłym związku biblijografia cieszyńska, która w rzeczywistości poprzedziła na długo pojawienie się wyżej projektowanej monografii o śląskich drukarniach i w ostateczności nam ją częściowo zastąpiła. Tak, jak ważniejsze zdarzenia zostawiają ślad po sobie w historii, tak każda drukarnia, dziś już może nieistniejąca, pozostawia po sobie trwałe i widome ślady, mianowicie wszelkie druki, jakie za czasu swego istnienia wysłała w świat, a jakie skrzętnie powinien był zanotować biblijograf. Wyczerpująca biblijografia, te niezliczone pozycje, będące spisem druków, jest więc poniekąd historią nie tylko literatury i kultury, związanej z danym krajem

lub dziedziną wiedzy, lecz także w szczególności przeglądem i historją drukarstwa.

Z pojęciem bibliografji ziemi cieszyńskiej związane jest ściśle nazwisko nieodżałowanej pamięci ks. Józefa Londzina, jako tego, co rozpoczął nad nią mozolną pracę i dał trwale podwaliny swym następcom. *) Wśród całego szeregu cennych, bo źródłowych i szczegółowych artykułów i prac z zakresu historii Śląska, jego kultury i literatury, jakie wyszły z pod pióra ks. Londzina, na pierwszy plan niewątpliwie wysuwają się jego prace bibliograficzne. **) Nikt może do tego stopnia,

*) Z poprzedników należałoby wymienić dawnego księgarza cieszyńskiego, Jerzego Kotulę, którego zestawienia roczne bibliografji ogólnopolskiej zamieszczał „Słowansky katalog bibliografický“, wychodzący w Pradze i mieszczący w sobie bibliografję narodów słowiańskich za poszczególne lata. Prace J. Kotuli, nie objęte „Bibliografją“ ks. Londzina, notuje, aczkolwiek nie wszystkie, „Bibliografja bibliografji polskiej“ dr. W. Hahna. Z następców wymienić musimy ks. Jana Szerudę, prof. Uniwersytetu warszawskiego, autora wyczerpującej „Bibliografji polsko-ewangelickiej w. XIX—XX“, wydanej w Warszawie w r. 1925, jako odbitka z „Rocznika Ewangelickiego“.

**) Ks. Józef Londzin: Kilka druków śląsko-polskich z zeszłego i pierwszej połowy bieżącego stulecia, z szczególniejszem uwzględnieniem innych książek polskich, używanych przez ludność polską w Księstwie Cieszyńskim. III. Sprawozdanie dyrekcji prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie za rok szkolny 1897-98. Cieszyn, 1898, w 8-ce, stron 3—22.

—: Bibliografja druków polskich w Księstwie Cieszyńskim od roku 1716 do roku 1904. Cieszyn, 1904. Nakładem Autora. Drukiem Kutzera i Sp., c. i k. dostawców dworu, w 8-ce, stron 38. (Odbitka z IX. Sprawozdania gimnazjum polskiego w Cieszynie.)

—: Uzupełnienia do „Bibliografji druków polskich w Księstwie Cieszyńskim od roku 1716 do 1904“, jako też bibliografja nowszych druków aż do roku 1922. Część I. (A—O). (Odbitka z XXV., XXVI. i XXVII. Sprawozdania Państwowego gimnazjum polskiego w Cieszynie.) Cieszyn. Nakładem własnym. 1922. Drukarnia „Dziedzictwa“ w Cieszynie. Str. 35.

—: Toż, część II. (P—Ż). (Odbitka z XXVIII. Sprawozdania Państw. gimnazjum polsk. w Cieszynie.) Cieszyn. Nakładem własnym. 1923. Drukarnia P. Mitregi w Cieszynie. Stron 38.

co On, nie interesował się cieszyńskim ruchem wydawniczym i nikt też tyle umiłowania nie włożył w tę tak żmudną i wiele czasu wymagającą robotę. Wziąwszy pod uwagę cały ogrom pracy we wszystkich dziedzinach życia społecznego i kulturalnego na Śląsku, jaki ks. Londzin w ciągu swego życia wykonał, dziwić się musimy, skąd brał czas na takie pieczołowite zajmowanie się przeszłością, na owo żmudne zbieranie i rejestrowanie dorobku kulturalnego, tego tak ukochanego przez niego zakątka. Zdziwienie nasze zaspakaja On sam następującemi słowy, pisanemi w trzydzieści kilka lat pracy nad zbieraniem druków śląskich, w r. 1922: „To, co niniejszem wydaję, nie jest dorowyczo w ostatniej chwili spisane, ale jest wynikiem 18-letniej pracy“), dyktowanej mi zamilowaniem do ojczystego kraju i jego kulturalnego i narodowego rozwoju.“

Słowa te mówią nam również o celu całej pracy. Autorowi chodziło o to, by zebrać to wszystko, co łączyło się z kulturą i narodowym rozwojem, co było oczywistym dowodem polskości Śląska, a co po wyjściu z pod prasy znikало „z widowni bez śladu, nawet bez notatki bibliograficznej“. Trzeba nam wiedzieć, że obok druków i tego „całego szeregu różnych broszur drobnych, odezwy i wierszy okolicznościowych, które — aczkolwiek drobne i mało znaczące na oko — dla nas Polaków śląskich posiadają niemałe znaczenie, bo są świadkami powolnego wydobywania się języka polskiego na szerszą widownię i dowodem wzrastającego uświadomienia ludności polskiej w Księ-

*) We wstępie do „Bibliografji“, wydanej w r. 1904, mówi Autor, iż od 15 lat zbierał gorliwie druki śląskie, zaś „Uzupełnienia“ są dorobkiem dalszych 18 lat pracy i o nich to myśli, pisząc wyżej cytowane słowa. Praca więc nad całością bibliografji do r. 1922 obejmuje 33 lat, a więc datuje się gdzieś od roku 1889, w którym ks. Londzin, zostawszy wyświęconym na kapłana, rozpoczyna swą publiczną działalność narodową.

dawniczym, jużto interesują się nim do tego stopnia, że są w stanie dopomóc w żmudnej pracy nad wznowieniem wydania tej tak ważnej publikacji. Nadmieniamy, że pracy nad kontynuowaniem i wydaniem tejże podjął się ks. Rudolf Tomanek, profesor gimnazjum w Cieszynie

i na jego też ręce można składać wszelkie uzupełniające „cegiełki“.

Skończyliśmy wywody o bibliografii w ścisłym tego słowa znaczeniu, zaś rzeczą pokrewną jej, aczkolwiek nieco odmienną, zajmiemy się w ciągu dalszym.

Gustaw Morcinek.

W HUCIE.

FRAGMENT.

Był wysoki mur.

Czarny, odrapany, z tynku obity — biegał ogromnym koliskiem przez pola, wzdłuż płonych usypisk, wymijał wyrwy i wądołce, gdzie w czarnej wodzie światło dzienne konało, przemykał się pobok licznych domków robotniczych, towarzyszył przez chwilę drodze, potem się załamał, rozszczepił w szerokie wrota, któredy w jego obręb sznury lśniących szyn wpełzały, wspinał się jeszcze zboku na stok rudej hałdy, zleciał zpowrotem do jej podnózek i przytulił się do wysokiej ściany ogromnego gmachu.

Po wierzchu, po jego kalenicy szczyrzyły się ostremi zębami powtykane w miękki kiedyś cement kawałki potłuczonego szkła, odłamki blachy, strzępy drutów kolczastych i żelazne zadziory. Po to, żeby nikt nie ośmielił się tamtędy przełazić. Ręce i nogi porzeżałby, na szmaty podarł — a nie przeszedłby. Mądrze to było zmajstrowane.

Dwa wejścia tylko pozwalały do środka wnikać; przez żelazne wrota wjeżdżały dyszające lokomotywy z różańcami dzwoniących wagonów, napełnionych po wierzch, rudą, wapnem, węglem lub koksem, a przez szeroką sień sklepioną w ogromnym gmachu wpływała co dnia wezbrana rzeka ludzka i co dnia wylewała się na ulicę. Rano i wieczorem.

Gardłowy, niski, chrapliwy ryk syreny otrębował przeciągle tamte chwile z dachu kotłowni.

Codziennie, rano i wieczorem, zanurzały się w obrębie murów czarne tłumy robotników, kłębiły się u ich gardzieli, huczały stłumionym gwarem, syciły zadyzione powietrze ostrym śwędem potu, a kroki ich dudniły mnogim, pomierzwiowym rytmem w sklepiastej sieni.

Poza murami kołtunił się krzyczący zgiełk żelaza, maszyn i ognia. Zmagala się do ostatnich granic wyteżona praca ludzkich mięśni. Syczały strumienie pary z wąskich wylotów rur, wyły rozśmigane koła i transmisje, zawodziły jękliwe motory, zgrzytały walce i krany, potworne młoty parowe spadały z pod stropu na podstawione bryły żelaza, rozbijały je na czerwoną miazgę, miesiły jak ciasto, prały naokoło wichurą iskier, stękały ludzkim głosem, a echo ich zduszonego jęku błąkało się przerażone po zaułkach nieprzejrzanym zabudowań.

Wzdłuż wyniosłych, czarnych, zadyzionych hal przepływały leniwie stężałe rzeki roztopionego żelaza, a biały ich żar rozęgał po ścianach i na stropie krwawe, oślepiające pożogi. Światło słoneczne gasło w nich, zamieniało się w szary popiół. Z piekielnych wnęk wyciekały ruchliwe strugi płynnego metalu w podstawione ogromne tygle, kolebiące się na krępych

łańcuchach; z nachylonych szyj besemrowskich pieców tryskały ryczące pióropusze rdzawo-niebieskich płomieni, były pod dachy skośnym rzutem, podobne do ognistej burzy, co się w kształcie roztrzęsionych mietlic na ciemny świat wyrывa; z rozwartych czeluści huczały sine płomienie, skręcały się w opętańcze wiry, napęniały skwarem dyszące płuca ludzkie, rzygały rudem kłębiskiem ciężkich, duszących dymów i truły powietrze swym jadem; a miejscami zastygały potężne bloki stali, co w rozpalonym piachu pokotem leżały, zdychające w swej spiekocie. Gdzie indziej znowu goniły oszalałe smugi ognistych skrętów, trzaskały sobą po żelaznych płytach, przecinały gęste mroki jarzącymi biczami, trzepotały się, trzymane w zębcach karbowanych kleszczy, zakreślały wymierzone drogi i znikwały wśród wyjących walców.

Czarna, rozparzona ziemia dygotała pod ludzkiemi stopami.

Pod sufitem, pod rozpiętymi krokwiemi żelaznemi sunęły terkoczące krany. Zawieszone w ciężkich mrokach, prawie że niewidoczne, leciały na zębatych kołach, wstrzymywały się, cofały, znów się zrywały i goniły niestrudzone, podobne do potwornych bestyj, co żeru na ziemi łakomie szukają. Raz wraz opuszczały rozkolebane łańcuchy z sękatemi, nakrzyż złożonemi paluchami, ujmowały zanurzony w piachu płomienisty ciężar, zachrzęściły z wysiłku, podnosiły wysoko i teraz gnały ponad ludźmi gdzieś na drugi kraniec hali, radujące się metalicznym szczekaniem rozżarzonemu łupu. A za lecącym w powietrzu żelazem rozlewały się po ścianach łuny pożarne.

Gdzie indziej znowu, z innej strony hali opuszczały się z uwieszonych kranów długie ramieniska, zaopatrzone poziomą ostrogą. Pod ścianami czernił się rząd żelaznych koryt, napelnionych złomem i wapnem. Zprzodu szczyrzyły się zadziory. W ich ogięcia wrażała się

ostroga, a kiedy utkwiała rzetelnie w szczelinie zadziora, wtedy kran zaterkotał zębcami, podniósł uwieżone koryto, zakreślił niem szerokie półkole i jął teraz wsuwać w płonącą gardziel rozwartego pieca. Płomienie buchały podartemi jęzarami, lizały z szumem osmalone ściany, prały skołtunionym dymem pod dachy, a ludzie cofali się, zasłaniając twarz skórzanym fartuchem. A kiedy z koryta wywalila się zawartość w robeltaną topiel białego żelaza, kiedy ramienisko wy dobyło ostrogę z korytem z szalejącej czeluści, wtedy opadała ciężka zasuwa i dusiła wydzierające się płomienie.

W głębi hali rozwalały się w czarnym pyłe rozrzucone zlepiska wystygłej lawy. Pomierzwione w ogromne skiby, czarne z wierzchu, gasnące w opuszczeniu, leżały jak potworne cielska, z których życie wycieka. Dyszały jeszcze ostatkiem utajonego żaru.

Ponad niemi, pod dachem uwijał się chichoczący kran. Czepiał się i łąził niewidocznemi mackami po gzymsach rozpiętych trawersów, podobny do ogromnego, skurzonego pająka z obwisłym brzuchem. Z podbrzusza jego opuszczał się w nizinę pęk stalowych lin z zawieszonym kręgiem stalowym, pogmerał nim w skibowej mierzwie i wywlekał wysoko olbrzymią kulę żelazną. Potem jął szukać miejsca, gdzieby uderzyć. Skoczył tu, skoczył tam, zatrzymał się na chwilę, znowu podleciał drobinę — aż znalazł... A wtedy z pod kranu odrywała się nieoczekiwanie tamta kula, spadała czarną smugą i z głuchem stęknieniem miażdżyła upatrzoną bryłę w dolinie. Rozsypał się żar dotychczas w trzewiach jej ukryty, zakłębił się czarny pył, rozprysły się szkliste bryzgi szerokimi łukami. Kula zatoczyła się z westchnieniem i przepadła w skibach. Kran poleciał za nią u góry. Opuścił macki i jął szukać. Raz tu, to znowu tam, długo, naoslep. A kiedy ją znalazł, zaniósł się radosnem szczekaniem,

podnosił wysoko, przeczekał, aż się uciszy jej kołysanie, potem wypatrzył nową ofiarę i zniecka puszczał. I tak ciągle wkółko przez calutką szychtę.

Czarni ludzie krzatali się wśród ognia i maszyn, mali jacyś, niepozorni, przebiegali zdyszani ruchome kręgi świateł, tonęli w mrokach, wynurzali się z dymów, zziajani, błyszczący potem na spalonych twarzach, jakby rudą oliwą wysmarowani, przybrani w skórzane fartuchy, obdarci, w zetłanych łachmanach. Czasem wychynał człowiek do strasydła podobny, w ogromnym hełmie drucianym na głowie, z dużymi ciemnymi szklami na otworach ocznych. Zaglądał przez fioletowe tafelki szklane w szpary opuszczonych zasuw, ślepił czujnymi źrenicami w głąb pieca, mierzył spojrzeniem wysokość zmarszczek żelaznej kipieli, wybierał chochlą rozbełtany metal i śpieszył z nim do próby. Nalewał żelazo w słoiki i czekał, aż skrzepnie. A gdy z przewróconego słoika wysunął się jego rozżarzony kształt, rozkuwali go drudzy małymi młotkami na placki. Wtedy majster mrużył skupione oczy, przyglądał się, ważył coś w głowie, rzucał rozkazy...

Wysoko nad piecami, za pręcianą balustradą, między dymami, co raz pojawiał się kształt człowieka. Unurzany w krwistej połodze, omotany zwojami iskier, czarny — błąkał się po niewidocznych ścieżkach, znikał za dymami, wychylał się zpowrotem, czyniący niezrozumiałe ruchy w cudacznych pokłonach. Czasem coś krzyczał na ludzi w nizinie, czasem tkwił nachylony nad tygłem, co głęboko pod jego spojrzeniem przechylał się powoli z płynnym żelazem, czasem podnosił ramiona, dawał znaki i gdzieś znikał. Za nim przychodził drugi i to samo czynił, podobny do tajemniczego maga, co złowieszcze zaklęcia nad ogniem sprawuje.

A zbałwanione ognie gziły się pod ich stopami, prały płomienistymi płachtami,

rozdzieraly je z wyciem na strzepy, ciskały w mroki, konały w duszących dymach.

Huta tętniła pracą.

Zgmatwane głosy ludzkie, krzyki maszyn i szum pary zlewały się w chaos.

A ponad tem wszystkim niosły się pod niebo opęczniełe słupy dymów, które za dnia gasiły słońce, w nocy zaś rozpały się rdzawemi pożarami.

Kiedy Gustlik znalazł się po raz pierwszy w obrębie tamtych murów, chodził jak obłąkany. Oszałamiał go potworny rytm pracy, ogłuszał krzyk maszyn i ludzi, nie mógł myśli skupić. Było mu tak, jakby się na środku wezbranej rzeki znalazł, co odporne tamy zerwała i teraz szaleje wolnością.

Zdarzyło się, że chłopak, młody Kuczera, pracujący przy spuście u wielkiego pieca, uległ poparzeniu. Płynne żelazo obryzgało mu nogi. Na jego miejsce przyjęto do pracy Gustlika. Dziwił się Wałoszek, że tak gładko wszystko poszło. Spodziewał się, że trafi na trudności. Gustlik przecież z cesarskiej strony, potem sam Wałoszek znajdował się na czarnej liście jako jeden z tych, co się okoniem stawiają wobec dyrektora Langhormsta. Na szczęście, w kancelarji znajdował się jego zastępca, inżynier Sohlich. Wiedział, że trzeba nowego chłopca za Kuczere. Ponieważ Gustlik nadarzył się w porę, przyjął go bez wahania. Co on zasz, jakich przekonań politycznych czy narodowych, to było dla Sohlicha rzeczą uboczną. Grunt, że zdrowy i chętny do pracy.

Gustlik został więc tak zwanym Helferem. Spełniał podrzędniejszą pracę. Przynosił rozrobioną glinę szamotową, podawał młoty i sztaby, uderzał perlikiem w podstawione kliny, a przede wszystkim słuchał starego Handzla, który się nim opiekował. Handzel przez dwanaście godzin ślezczał pod wielkim piecem, piekł się, rozpływał w pocie, a gdy przyszedł czas, że w małym wzier-

niku, opatrzonym grubym fioletowem szkłem, dojrzał w piecu dostateczną miarę wytopionego żelaza, przystępował do przebicia otworów w murze. Zapchane były szczelnie szamotową gliną. Jeden z nich, umieszczony wyżej z boku, służył do odpływu szlaki. Drugi u dołu do żelaza. Gdy jedni hutnicy przebijali górny otwór, żduchając weń długimi sztabami, Handzel zabierał się statecznie i z nabożeństwem do otwarcia dolnego przepustu.

Były cztery piece. U stóp każdego rozbiegała się lekko nachylona płaszczyzna, pokryta grubą warstwą miłkiego piachu. Cała ta przestrzeń była poorana wklęsłymi grzędami, niewielkimi, powiązana wymyślną płataniną rowków. Koło nich czekali hutnicy z długimi gracami.

Handzel ujmował sztabę, wykruszył w otworze sporo gliny, wraz z ile się dało i, krzyknawszy na Gustlika, czekał. A Gustlik chwycił ciężki młot w poplute dłonie, wymierzył drogę oczyma i jał bić od dołu w głowicę sztaby. Młot kołysał się powoli w jego drobnych, lecz muskularnych ramionach, jak ciężkie wahadło, zakreślał równe wycinki koła, spadał z jękiem na dzwoniący grot, odrywał się, poleciał zpowrotem i znów spadał, raz po razie. A za każdym uderzeniem Handzel cofał lekko sztabę, przekręcał w dłoni i czekał na nowy cios, mrużąc zlekka powieki.

Kiedy zanurzony koniec sztaby rozżarzył się i można było już w dłoni wyczuć, że się opiera i poddaje naciskowi spieczonej gliny, wydobywał ją z otworu, odrzucał i porywał drugą. I znowu tak długo trzymał ją w ustępującej głębi, aż przyszedł czas, że koniec jej rozmiękczył się w żarze. Wyrzucał więc nieużytek i sięgnął po trzecią. Potem po czwartą i następną.

Potężne fundamenty pieca dudniły i dygotały pod naporem rozpętanej bu-

rzy ognistej, co w ich wnętrzu rzucała się wściekła. Rozparzone, suche powietrze piekło oczy, gardło i płuca, pot ściekał brudnymi strużkami po twarzach, przemacał czarne koszule, zgarnięte mięśnie napinały się w obłe łuki, przesuwały pod czerwoną skórą, prężyły i znowu rozbiegały, a dyszące płuca z trudem chwytały drobinę chłodniejszego powietrza, co się czasem z zadymionym wiatrem pod huczące cielska pieców przybłąkał.

Nadchodziła chwila, że znużone uderzenie młota trafiało na miękkość. Handzel jednym rzutem wyrzucał sztabę, a w te pędy runęła z otworu gruba, pryskająca struga białego metalu. Zamykały się oczy poniewoli, rażone boleśnie jak blaskiem słonecznym, uchylały się ludzkie postacie przed buchającym żarem, na ścianach pieca i po żelaznych wiązadłach dachu rozleciała się krwawa pozooga, a robotnicy, czatujący z gracami na piaskowych grzędach, wdziewali szybko na dłonie przestronne rękawice skórzane i zapuszczali na twarze skórzane zasłony. Czekali przywarowani, jak na cenny łup, co im się nie śmie wymknąć z pod ręki.

Z otworu biła kaskada rozbełtanego słońca płynnego. W krótkim, płaskim ogięciu spadała w wygrzebany rów piaskowy, przemieniała się w leniwy strumień, biegała wędolcem do najbliższego zakrętu, wygięła się, spięła lekko na ścianę, wykręciła i poleciała dalej. Za nią szerzył się w powietrzu niepojęty żar, nokoło rozbiegała się coraz większa luna, a ludzie patrzyli w strugę, jak w żywą bestję, którą śledzić trzeba w każdym ruchu, szpiegować jej przyszłe zamiary, jednym uderzeniem gracy w zarodku je zniszczyć i pokierować w czekające doły piaskowe.

Czarne postacie nachylały się i wysuwały z ramion długie żelazne styliska z gracami, zapierały przejście, zmuszały złą bestję do zawrotu, prowadziły, gdzie

jej zgóry drogę obmyślono, a płynący ogień sapał głucho, prychał skrami, kipiwał z wściekłości i marszczył się w spleśniające skibki.

A z pieca lała się wciąż struga płynnego słońca.

Kiedy już ostatki jej wyciekły, kiedy już ledwie krople sączyły się z otworu, Handzel jął zapychać wylot wałkami wilgotnego szamotu. Wsuwał je do środka tęnym drągiem, żelaznym. Tak długo, aż zapchał po brzegi.

Najcięższa robota na kilka godzin skończona. Odetchnąć będzie teraz można, powietrza chłodnego zaczerpnąć, pot z twarzy obetrzeć...

Na piaskowem usypisku zaś konały spokojnie prostokątne tafle surowca, powlekały się szarością, żar z nich wyciekał, roztopiał się w powietrzu, łuny gasły nad nimi. Po kilku godzinach przyjdą ludzie, porozbijają je ciężkimi młotami i rozpoczną wrzucać w uwieszone nad nimi wagoniki lub będą je zwałali na dzwoniące usypisko w podstawione wagony.

Gustlik uśmiechnął się, gdy po raz pierwszy usłyszał ich nazwę. Gęsiami nazywali ludzie tamte wystygłe tafle ciężkiego, porowatego i dłonie raniącego żelaziwa.

Do nowej pracy rychło przywykł. W pierwszych dniach skarżył się Wałoszkowi na spiekotę, na klucie w oczach i bole w krzyżach. Skóra na rękach i twarzy poczerwieniała, a miejscami pozwalala się ścierać palcami, jak zmięta szmata.

— To nic!... — pocieszał go wuj. — To każdy z nas przechodzi. Z początku zdo sie człowiekowi, że nie wydzierży, ale potem przywyknie!... Człowiek do wszystkiego może przywyknąć!... — dodawał z namaszczeniem.

Chłopak w pierwszych dniach złopał nienasycenie zimną wodę z konewki. Pałilo go w piersiach.

— Nie pij tela wody, synek!.. — pouczał go Handzel. — Bo to niewielka pomoże. Pocić się bydziesz jeszcze barzi i jeszcze więcej wody wychlapiesz. Z tego jeny brzuch boli. Jeszcze mogą ci sie w nim żaby zapląnąć!... Nie pij tela wody!...

Zczasem i tego się oduczyl. Podpatrywał Handzla i czynił to, co u niego widział. I dochodził do przekonania, że naprawdę można do wszystkiego przywyknąć, jak mawiał wuj. Porównywał pracę w kotłowni w Karwinie z pracą obecną. Uśmiechał się, bo widział, że tamte wysiłki i spiekota przy kotłach była zaledwie cieniem tego wszystkiego, co spotykał w hucie. Uśmiechał się wtedy tym uśmiechem mądrości, co pozwala istotę rzeczy przejrzeć i człowieka przekonać, że wszystko jest jakoby złudą.

Zarobił niewiele więcej, aniżeli w kopalni karwińskiej. Wujowi płacił za całkowite utrzymanie, boć trudno było inaczej. Płacił tyle, coby gdzie indziej żądano, gdyby u obcych ludzi kątem mieszkał. Wałoszek nie chciał pieniędzy przyjąć, opuszczał mu z ceny, lecz honorny Gustlik zaciął się i także nie ustąpił.

— Jeśli nie przyjmiecie — groził — to pójdę na kwartyr do kogo inszego!...

— No jeśli już tak miałoby być, to płoń! Ale i tak sie to u nas nie straci, a jak kiedy bydziesz w biedzie, to ci wróca! Za kwartyr nie byda ci rachować, za opierunek też ni, a za jodło, no... to nas tak mocka nie kosztuje!.. No, już dobrze, dobrze!... Nic nie mów! — i machnął ręką ostro. Znak to był, że skończona rozmowa.

Do pracy chodzili razem. Wałoszek przez cały dzień uwijał się na najwyższym szczyście drugiego pieca. Na „Emmie“. Bo każdy piec miał swoje imię. Taki już był zwyczaj. Małe wagoniki wlokły się na wyprężonych linach pod górę, skwierczały kółkami z wysiłku, podchodziły do rozwierającego się otworu i za-

trzymały się. Wałosek chwycił je wtedy i dopychał na miejsce. Ujmował za wystające uszaki i wywraçał. W głąb zakrytego otworu zsypywał się z hurkotem zamęt czerwonej rudy lub wapna z koksem. Kiedy otwór był wypełniony, ujmował oburącz łańcuch, zapierał się nogami i ciągnął. Wtedy z otworu wynurzał się ogromny lej, tkwiący w nim swym odwróconym wierzchołkiem, wieniec sinych płomieni wydymał się z szumem ponad piec, rozbełtał się czarnym dymem, a w gorejącą czeluść zsuwał się z krzykiem nagromadzony materiał. Potem dzwon opuszczał się i płomienie gasły.

Jeżeli czasem Gustlik przebiegał podwórce, podnosił głowę na Emmę i wtedy widział sylwetkę swojego wuja, rysującą się na niebie. Radował się wówczas, bo znikało uczucie osamotnienia, jakie mu towarzyszyło w pracy między obcymi sobie ludźmi. Czasami zaś w nocy czatował u stóp Emmy, by zobaczyć wybuchające płomienie. Nie mógł się ich widokiem nasycić. Czekał. A gdy pod

ciemne niebo trysnęły krwawe szmaty, gdy je wiatr rozdał i jał garściami rzucał pod chmury, truchlało w nim serce z radosnego przerażenia. Wiedział, że sprawcą ich rozpętania był jego wuj. że on tam patrzy w huczące ich jądro i ramieniem zasłania spłoszone oczy, a gdy zechce, przetnie je opadającym dzwonem, jakby dłonią nakryje i zdusi. Podobnie, jakby płomień świecy, w palcach zmełł. Wtedy rozpierał się w nim podziw dla człowieka silnego, co swym rozumem wszystko ujarzmić potrafi. Nawet płomienie. A tym silnym człowiekiem był jego wuj.

A równocześnie rozumiał niejasno, że w nim samym coś tężeje i zwiera się w twarde, chropowate surowiec, jak tamto żelazo, co z onych płomieni wraz z Handzlem wyzwala i wygrzebaną ścieżyną do piaskowych wnęk prowadzi. Ale co to było, nie wiedział. W każdym razie coś takiego, co oczom zimnego patrzenia użycza, a czucie ludzkie czemś szarem powleka. Podobnie, jak u tamtych „gęsi“, które zszarzały już do imentu z wierzchu, a wnętrza ich jeszcze rozżarzone.

Józef Kaleta.

WIYRBA.

Nie dboł o nią posel. Cóż tam na wiyrbie gławnego — jedna jako drugo pokra-ka krzywo. Teraz ale płaszczol już niewieda odkiel nad kowiorkem podpajtą i zadziwoł sie na nią.

Otępno jaksi. Słońce za zowałe zaszło i skrwawiło cały zochód. Kowiorko napo-ły wyschnóte, troche jeny w nim kalnioczki, czerwone od nieba, jak misa z krwią przy zabijaczce. Jedno, drugi piyrko gęsi potłukało sie po nim, a na bagnistych krajach pełno było gęsich szłap. Smród od glonu i gęsiniec bił do nosu, kajsi z daleka słyhać było lónzochowite dyszeni

ósmówki i głuche jęki przekulowanych na pile tromów.

Nic nie czuł, nic nie słysoł. Zdrzył jeny w wiyrbie i teraz na tle czerwonej płachty nieba wyglądała jak jako czarownica z rozczochranymi szkuwitami, co czępi nad kotłem z krwią. A z tego kotła odzywało sie od czasu do czasu, jakby skąd z pod ziemi, ciche skómleni praszywych żob: Kwi-tu, kwi-tu... pił, pił... łach, łach... spuch, spuch...! Zima śnim zadyrbała:

— Przekłete żabska — trzeja isć do legieru!

Został. Jaksi mu niesporo było. Zaś mu oczy ciągnęły ku wyrbie. Spomniał se, że kiejsi w wyrbie tej dudek miał gniazdo. Chłapcem wtedy był i chciał mu młode wybrać, od smrodu ale o mało do wody nie spod. Poczł teraz zoduch glonu i poczon se spominać, do czego ten plugawy czuch dudka był podobny. Po chwile myśli sie mu zaczęły targać, kołowacić, bić o ściany ciasnego corka, aż sie sklagały i opadły, niesuce do żodnej roboty. Oczy mu sie we słup obróciły, bezmyślnie heczoł na czorne chamręzi wyrby, a w uszach sie mu objiała żabio litanija: Kwi-tu, kwitu... łach, łach... pił, pił... spuch, spuch...! Coroz silni, coroz głośni, aż śnim dziyręło: oczy poczyni widzieć, a myśli robić.

— Co to ze mną?... Przekłete żabska!

Poczłwoł, czy baba jeszcze odbywo krowy, abo czy już szła spać. Nic słyhać nie było, jeny cichutki psykani nietopyrza, co gonil kole jasioni i nad kowiorcem za morami. Cisza sie rozpanoszyła nadobre i zaczęła cieniutkim, strzybnym głosikiem zwońić w jego uszach. Tak jakosi nieopisanie żałośnie, jakby jaki daleki odgłos tajemnic downych dziejów.

— To muzyka krwi — gwałtem sie oderwoł od marzących myśli.

Nienadługo. Za chwile oczy miał zaś wlepione w wyrbę i przypominoł se, jako to za synka rod siodowol przy słupach telegraficznych, przytykoł do nich ucho i poczuwoł tajemniczej muzyki. Abo jako w zimowy wieczór, kiedy tata kurzył fajkę, a mama czytali w Dąbrowce, posłuchol meluzyny, co w piecu cicho i żałośnie we więcej głosów jęczała, roz wyży, roz niży, aż mu mrowce po grzbiecie chodziły. Przedstawioł se te meluzyne roz jako blade dziewczce z białymi włosami i wycoczonymi, szklanymi jak u kozy oczami, abo zaś jako czorno-zieloną czarownicę, co ji na głowie gady rosły zamiast włosów. Naroz tata wyjón gryzek z wytłanych, czornych zębów, spluwnol ku piecu, że to aż chlasło na kamieniu przed popielnikiem, a wtedy zwykle kierosi kura pod

nolepą zakurczała, mama pokłodali okulary na stół, przeżegnali sie i prawili: Djobol chodzi kole chałupy, zaś tata na to: — Idź, idź, głupio! Za to spluwnoci, co targało jego obrozki o meluzynie i za te rufiacki słowa strasznie sie dycki gnijwoł na tate i poczon go nienawidzieć. Życzyl se z całego serca, coby ta meluzyna wylazła z pod blachi i coby te gady na jeji głowie podusiły tate za hyrtoń.

— Pierón stary — wyleciało mu naroz z gęby i aż sie przelak swoich słów. Zaboczył sie, ścisnoł uszy, coby nie słyseć podrzyzniano żob. Czym bardzi ale ścisnoł, tym głośni słysoł zaś to zwoieni, coraz bardzi tajemnicze, jakby z dalekiego pogrzebu i suchy płacz mu ścisnoł pijok. Zgrzutoł na zębach, a oczy go zaczęły poleć, jakby tam miał dwa wągliczki.

Zawioł luftek wieczorny i okruszyło go. Ze starego przyzwyczajenia wyszeptol: — Śmierć mie powoniała. W tej ale chwili strach na niego piznoł: czuł, jak mu ziąb lezie z bachorów kajsi ku sercu, coroz wyży i wyży. Pot zimny mu wystąpił na czoło. — Odbyrkło sie mu. Zerwoł sie i otrzepol.

— Głupstwo, wiatry mie puczają, nic więcej!

Po chwili sie zaś zabył.

Kowiorcko zczerniało, a w siadlej krwi zochodu iskrzyło sie od czasu do czasu od błysków. Z poza losku wyzywoł ogryziony miesiącek i posypowol ziem szaro-białawym popiołem. Powstowol wiat. W niedalekiej olszynie zaczon grać w gałęziach, nieśmiało zrazu, pomału nabiyroł kurażu, zbliżol sie dufny w siebie i od niechcynio pogmyroł w gałązkach starej wyrby. — A on widzioł teraz przed sobą meluzynę, małą, garbatą, z gmecią większych i miynszych gadów na plugawym, wrzodowitym czepańsku, kiere sie kiwały na wszystkie strony.

Poco czakać na nią? — zaczon myśleć tam, kaj przed chwilą przestoł i zaś sie przelak. Snula się mu po głowie myśl, wyrażono jeny dwiema słowami, kiere ale

mieściły w sobie wszystko: — Przemierzłe zyci! — Każdo sylaba wbijała sie mu w mózg, pomału, z miarą, jak uderzenia klepocza po zwonie na wieży kościelnej. A między każdą sylabe wciskało sie ciche żabski: Pił... kwi-tu... spuch... łach...!

Złość go popadła. — Przeklęto wyrba, przeklęto meluzyna, przeklęte żaby, przeklęto gorzoła, przeklęto godzina, w kierej sie narodził, przeklęty cały świat! — A gady jakby na śmiech coraz bardzi sie kiwały na wszystkie strony. Widził aji oczy meluzyny, wielki, straszne. Rosły i rosły i urzekły go. Jak na dłoni w nich widził całe swoi zyci w pore obrozkach: jak chodził do szkoły, potem jak zaczął chodzić do gimnazyje, jak tate przyniysli twardego z gospody, jak za pore dni przyszli cudzi ludzie na ojcowizne, z kierej z mamą musieli pónić do drugij dziedziny do przocieli, u kierych mu było trzeja krowy paść. Potem jak na froncie naroz śnim bechło o ziem, zasypało go i jak mu po operacyji pokazowali wyjętą z głowy ograbkę z granatu. Dali zaś, jak mu serce pęcniowało od miłości, jak odprawioł chrzciny, a potem dziepro wiesieli, jak to dziecko umrzyło, jak drugi przyszło na świat, podobne okropecznie do znanego lómpa dzie-

dzinskigo, ryszawego Jury, jak mu zawiertalo w głowie straszne podejrzeni też co do piyrszego dziecka, jak sie z piyrszej półki otrzepoł i omało nie pozwracoł, jak mame ponieśli na kierchów, jak piyrszy roz babe strzełił w pysk...

Zacis pięści i poczuł w gorści porwóz. Zmortwioł cały. — Skąd wziół porwóz? — Kiedy? — Naco? — Jezusmaryjo! co sie robi ze mną? — Chcę jeszcze żyć — mogę nanowo zacząć — przestanę pić — pujdę w świat — zapomnę — odżyję...! Pochoch jo broł ten porwóz.... poco?... po...?

Gady meluzyny kiwały: — Pódz haw, cóż czakosz?

— Pódz haw, cóż czakosz?... Pierón stary!... Poco czekać na nią?... Na kogo?... Brrr!... Meluzyna... bedzie mie dusić... ni, tate... ni, mie!... Djoboł chodzi kole chałupy... bedzie mi grać pod blachą... ni, meluzyna... na chodnik... aha, słup telegraficzny... gro... gro... aha, oto jeden god... doczkej, poduszę cie... teżes tate udusił... ściagnóć... tak... jeszcze lepi... teraz jo... gro pięknie... o, gro... zwońią szumnie... szumnie... zwońią... zwo.....

A wiater hóczoł coraz silni, jakby chcioł serwać obieszonogo...

Hanka Kłosińska.

PRZEMIANY.

*Przyniosłam ci swe serce w kryształowym dzbanie —
Zakryłeś je pokrywą z słonecznych promieni,
Serce zbladło pod żarem. Tak przyszło rozstanie.
Odtąd się w życiu nic w gwiazdy nie zmieni.*

*Słońce we łzy stopiło zimny dzbanu kryształ;
Tyś z nich wyłowil serce i ujął je w dłonie.
Jakiś uśmiech, zagasty blaskiem, jął się ziszczać,
Znów szło do mnie po tęczy powrotne witanie.*

Gmina Puńców w Cieszyńskim przed 160 laty.

Stosunki społeczne.

Stosunki te można poznać z urbarza, t. j. spisu powinności poddańczych, znajdującego się w Muzeum śląskim. *) W XVIII wieku zaczęły się na Śląsku, w posiadłościach duchownych, szlacheckich i kameralnych, t. j. należących do Habsburgów, pojawiać zaburzenia chłopów, których położenie, oddawna ciężkie, stawało się coraz gorsze, wprost nieznośne. Chłopi odmawiali pełnienia pańszczyzny, zgromadzali się po nocach w lasach, układali zażalenia i wysyłali deputacje do dworu cesarskiego. Ponieważ rozruchy chłopskie stawały się coraz powszechniejsze pomimo kar, nakładanych na skarżących się, i ogarniały coraz nowe wsie, cesarzowa Marja Teresa, obawiając się wyludnienia kraju przez ucieczkę do sąsiednich krajów, szczególnie do Polski, wyznaczyła komisję, która badała skargi chłopów i nakazała spisać powinności ich, ażeby chłopci mogli przynajmniej wiedzieć, jakie są ich obowiązki poddańcze i żeby nie wolno było nakładać na nich nowych ciężarów. Tak powstały t. zw. urbarze i taki urbarz spisano w roku 1770 także dla Puńcowa, który należał do dóbr kameralnych.

W tym czasie było w Puńcowie 47 chłopów osiadłych, czyli posiadających grunta chłopskie, kupione od Komory, mianowicie jeden „wolny wójt“, zwany inaczej rychtarzem, 22 „siedlaków“, t. j. posiadaczy takich obszarów pola, na których wysiewano 60—80 miar zboża, 7 „pólsiedlaków“, mających mniejsze grunta, 2 „wolnych siedlaków“, 3 „zagrodników“, 10 „małych chałupników“, mają-

*) Do muzeum darował urbarz p. Kłoda z Puńcowa za pośrednictwem ucznia seminarjum bobreckiego, Kupki.

cych jeszcze mniejsze grunta, 2 „przystąpionych do chałupników“, czyli takich chłopów, którzy niedawno nabyli grunta, i jeden młynarz. Oprócz nich byli jeszcze chałupnicy, „postawieni na nawsiu lub na sielskich (chłopskich) gruntach“, którzy nie posiadali ziemi, i komornicy. Tych urbarz nie wymienia po nazwisku.

Nazwiska chłopów osiadłych powtarzają się. Wójt wolny ówczesny nazywał się Jan Babilon, pomiędzy siedlakami przychodzi 2 Glajcarów, 2 Kajzarów, 5 Wojnarów, 2 Kłodów, 2 Welszarów, 2 Walczysków, poza tem Merta, Kłapsia, Niemiec, Broda, Sikora, Hanuszek, Stentzel. Pomiędzy pólsiedlakami 2 Szlauerów, Dudek, Benesz, Niemiec, nazwany zagrodnikiem, nadto Broda i Kłoda. Wolni siedlaczy nazywali się: Henczolek i Borutamłynarz: Henciołek. Razem pomiędzy wszystkimi osiadłymi chłopami było najwięcej Wojnarów (7), potem Glajcarów (4).

O Mercie siedlaku powiedziano w urbarzu, że ma „pustki“, zaś o małym chałupniku Adamie Wojnarze, że „patrzy ku farze“.

Powinności chłopów.

Wszyscy mieszkańcy Puńcowa obowiązani byli do pewnych świadczeń na rzecz pana, t. j. w tym wypadku na rzecz Komory. Wyjątek stanowił jeden wolny siedlak, Paweł Boruta, nr. domu 38, który był wolny od wszelkich danin. O nim powiedziano, że „ma się stosować do swego kupu“. Ten widocznie wykupił się od powinności i zapłacił Komorze nietylko za wolność, ale także za wszelkie świadczenia, któreby na nim ciążyły. Również wolny był od wszelkich danin młynarz. W mniej dobrem położeniu był drugi wolny siedlak (Jan Henciołek), który płacił

rocznie 3 złote reńskie (pisano w urbarzu: reńskich) i 12 grajcarów oraz oddawał na rzecz zwierzchności 2 kury i 60 jaj. Trzeci wolny chłop, wójt, nie tylko płacił czynsz roczny od posiadanego gruntu, większy niż wszyscy inni, ponieważ miał zapewne większy obszar pola, lecz także obowiązany był raz w roku przywieźć czterema końmi z gór do młynów cieszyńskich kamienie młyńskie, oraz zapowiadać roboty pańskie i pilnować pracujących. Za tę czynność dostawał tytułem wynagrodzenia jednego buka na naprawę wozu i jedną jodłę na szczypy do świecenia.

Wójt, wolni siedlacy i młynarz nie mieli poza tem żadnych innych obowiązków wobec Komory. Siedlacy, pólśiedlacy, zagrodnicy i mali chałupnicy, o ile posiadali pola, płacili czynsz pieniężny, poczynając od 12 grajcarów do 4 reńskich 16 gr i 4 halerzy rocznie od gruntów, zależnie od wielkości używanego gruntu, nadto — zamiast zboża — dawali opłaty pieniężne od 1 reńskiego 20 gr do 3 reńskich 33 gr 2 hal.; tylko niektórzy byli od nich wyjęci — 2 zagrodnicy płacili nadto czynsz robotny, to znaczy płacili Komorze za uwolnienie od robocizny na polu pańskim. Poza tem wszyscy inni mieszkańcy Puńcowa byli obowiązani do robót na polach folwarcznych Komory. I tak pracowali siedlacy z zaprzęgiem o 3 koniach przez 10 tygodni w roku, w czasie żniw po jednym dniu w tygodniu, przez 24 tygodnie po 2 dni w tygodniu, przez 28 tygodni po 1½ dnia, z wyjątkiem 4 siedlaków, którzy oprócz roboty w czasie żniw, takiej samej, jaką tamci wykonywali, pracowali przez 45 dni po jednym dniu. To samo, co ci ostatni, robili pólśiedlacy, z wyjątkiem jednego, który przez cały rok pracował na pańskim pieśzo, bez zaprzęgu, przez 3 dni w tygodniu. Z trzech zagrodników tylko jeden pracował pieśzo przez 3 dni w tygodniu, mali chałupnicy zaś byli obowiązani do robocizny pieśzej na rzecz Ko-

mory w czasie od św. Michała do św. Jana przez ½ dnia w tygodniu, a przez resztę roku po 1 dniu. Robociznę pełnili zresztą wszyscy mieszkańcy Puńcowa, bo nawet komornicy, którzy nie mieli ani gruntów ani własnych domów, byli obowiązani albo pracować na pańskim przez 24 dni w roku, samotne kobiety przez 20 dni, albo płacić zamiast tego po 1 reńskim 30 gr rocznie. W zimie, kiedy robocizny w polu nie było, musieli Puńcowianie prząć przędzę, otrzymaną od Zarządu Komory i oddawać mu po 1 sztuce (siedlacy i pólśiedlacy) lub po ½ sztuki cienkiej przędzy.

Oprócz tego mieli — według tego spisu powinności — siedlacy, pólśiedlacy i zagrodnicy oddawać do Komory pewną ilość kur i jaj itak siedlacy po 5 kur, z wyjątkiem kilku, którzy dawali mniej. Tylko mali chałupnicy nie byli obowiązani do tej daniny.

Wreszcie jeszcze jeden obowiązek, spoczywający na siedlakach i pólśiedlakach: mieli pełnić straż na folwarku gułdowskim 4 razy w roku i siedlacy mieli pomagać przy polowaniu jako nagonka raz w roku, chałupnicy zaś 2 razy w roku. Kto miał warsztat tkacki, musiał płacić od niego 32 groszy rocznie.

Urbarz wymienia jednak także prawa, jakie mieli mieszkańcy Puńcowa wzamian za te daniny i robociznę. Oto podczas pańszczyzny w żniwa dostawali w południe jadło, złożone z 2 warzonych potraw, na „swaczynę“ i bochenek chleba, a po żniwach 3 wiadra piwa. Na tem koniec. Zapłaty jakiejś za robociznę Puńcowianie nie mieli dostawać według tego urbarza. Ponieważ zaś spis powinności poddańczych nie przynosił im istotnych żadnych ulg w opłatach ani pańszczyźnie, owszem legalizował niejako te wszystkie powinności, które Zarząd dóbr kameralnych narzucił poddanym w czasach poprzednich, ponieważ w dalszym ciągu grunta chłopskie, uprawiane przez chłopów w czasie wolnym od pańszczyzny,

należały do Komory i nawet ci, którzy za nie zapłacili, nie byli pewni swej własności, dlatego patent urbarjalny, wydany przez cesarzową po spisaniu urbarzy we wszystkich wsiach śląskich, nie usunął niezadowolenia, panującego wśród chłopów i skargi na ucisk nie ustały. Trwały one tem bardziej, że poddani mieli jeszcze inne powody do niezadowolenia.

W tym samym czasie, kiedy spisywano powinności chłopów, skarżyły się wsie kameralne, że „muszą co roku pobrać pewną ilość wódki od Zarządu Komory i zapłacić za nią, co jest tem uciążliwszem, że ta wódka jest prawie nie do użycia. Gminy byłyby gotowe zapłacić za nią połowę należności, a nie pobierać żadnej wódki“. Zarząd Komory narzucał wsiom kupno towarów, które miał do zbycia, w takim stanie, w jakim nie mógł ich spieniężyć drożej w inny sposób. — Dla Puńcowa kontygent wódki, za którą miała wieś zapłacić, wynosił 1 wiadro, 21 garnce i 2 kwarty, był wogóle największy ze wszystkich 29 gmin kameralnych. Tej powinności nie zawierał urbarz z roku 1770, ale nie zawierały jej także poprzednie spisy, a jednak zdołał ją narzu-

cić Zarząd Komory, poparty autorytetem panującego, który był zarazem właścicielem Księstwa Cieszyńskiego. *)

Utrzymujące się w dalszym ciągu niezadowolenie wśród chłopów zmusiło rząd ponownie do interwencji i ostatecznie do przyznania pewnych drobnych ulg. — Urbarz gminy Puńcowa zawiera dodatkowe zarządzenia, wpisane w roku 1776. W nim obniżono komornikom ilość dni pańszczyźnianych, w których mieli pracować za darmo, do 13 (zamiast 24), za inne dni, w których mieli również pracować na gruntach folwarcznych, kazano Zarządowi Komory płacić im po 7—15 grajcarów za dzień, ale tych dni nie mogło być więcej razem z tamtymi, niż 3 w tygodniu, odebrano im natomiast to „dobrodziejstwo“, którego dotąd używali: jadło i piwo.

Poddaństwo Puńcówian zostało, podobnie jak wszystkich chłopów w państwie austriackim, ograniczone za czasów Józefa II, a ziemia, którą uprawiali, dostała się im na własność dopiero w roku 1848.

*) Odośne akta znajdują się w archiwum ministerstwa spraw wewnętrznych w Wiedniu.



GUSTAW MORCINEK.

RADOŚĆ SPOCZYNKU.

*Kiedy, zdrożony daleką drogą pątniczą,
przejdę ścieżyny, ostatnie przejdę wądolce,
kiedy kłosianych szmerów nie ujmą już palce,
a w oczach zgasną maków szkarłaty zwodnicze,*

*kiedy wyminę ostatnie obce zagonki —
legnę na trawie w lipowym cieniu pachnącym,
w cieniu radosnym w pszczelne organki grającym,
w ciszy słonecznej, zdobionej w skowrończe dzwonki...*

*Miodne zapachy i słodycz cienia chłodnego,
dzwonki skowrończe i żmudne drogi pątnicze,
radość spoczynku strudzonych kości na ziemi —*

*wszystko się złoży naksztalt uśmiechu jasnego,
pozwoли prześnić sny dawno śnione o świetle,
a oczy mrące nakryje dłońmi białymi.*

GUSTAW MORCINEK.

CISZA W KOPALNI.

*Cisza... zamarta cisza... Wzrok tonie w jej puchu
bez echa. Zwierają się aksamitne mroki
u granic światła. Skonały ostatnie kroki
w niezgłębionej czerni, szczyły u granic słuchu...*

*Sierocy płomyk gromnicą pełga wśród ciszy,
złuda słonka złotego!... — Wzdłuż zwistej ławicy
rząd białych stempli tli się zapachem żywicy,
zblakane cienie w kaptur oblekły się mniszy.*

*Cisza odwieczna. Wieki usnęły w jej studni.
Chrześliwym krwi rytmem wydzwania podzwonne
w głębiach uszu i strużką cieknie w biedne serce.*

*Serce śni o słonku, co się gdzieś w złocie cudni
i słucha ciszy, co w ciszy dzwoni pozgonne,
a oczy wiedzie w stracenie przez mroków kobierce.*

Jak to zbujnicki duchy tańcowaty...

(Ze zbioru opowieści beskidzkich: „Szli se zbuje.“)

FRAGMENT I.

Roz zbujnicki duchy wstały —
A było ich mnogość wielko,
W skałach zgluchła dusza wszelko,
Drzewa w strachu skamieniały...
A było ich srogo moc,
Kiej sie zeszli w czarną noc!

Od złota wszyscy kapali —
Światło sie straszeczne stało,
I po gróniach zadudniało;
Bo zbujnicy tańcowali,
A było ich srogo moc —
Kiej sie w czarną zeszli noc.

Po dziedzinach psy harwoszą...
Dżywki jurne rzą w pościeli,
Krew im w piersiach mleko bieli.
Zbujnicy sie szumnie noszą,
A tańczy ich hrómsko moc —
Tańczy ś nimi czorno noc.

Tańczy ś nimi każde drzewo —
Śmierć po trómach pogwizduje
He... z Ondraszkem tańczą zbuje.
Jedna jedla w drugą śpiewo...
A tańczy ich wielko moc
I rogato tańczy noc!

W gałęziskach śmiech się wieszono,
Drzędźdy wiater przez potoki —
W gróniach marmrzą stare roki,
Zbuje w tańcu iskry krzeszą...
Łysą Górą dyrbie strach,
Łu-pu-cu-pu-gruch-buch-ciach!

Na złómanem obręczysku
Siedzi kudłate djoblisko —
Na palczyskach gwizdże, pisko,
Żle mu świeci prosto z pysku...
Wszystki drzewa w pas sie gną,
Dżywki jurne w chcyniu rzą!

*Śmierć się zgibo, szurzy boki,
Po grzebieniu gębą smyko,
Z jakąsi dziwną muzyką...
— W drzewach zarżoł śmiech dziwoki!
Tańczy zbuji wiela, moc —
I czartowsko tańczy noc.*

— — — — —

*W borze siadło blade cicho
Nic się nigdzi nie wieruszy.
Wygnało precz zbuji lichy,
...I bór zostol jak bez duszy!
A było ich srogo moc,
Kiej się w czarną zeszi noc!*

Jacek Koraszewski.

Kilka słów o młodzieży akademickiej Śląska Opolskiego.

Kościół farny w Opolu, nabity szczelnie tłumem, rozbrzmiewał doniedawna polskim śpiewem. Co niedzielę śpieszył lub z okolicznych siół na polskie nabożeństwa. Polskich nabożeństw mieliśmy dwa, co drugą niedzielę nawet trzy. Tymczasem ostatnio, bez dostatecznego powodu, znie­siono wszystkie nabożeństwa, przeznaczone dla polskiej ludności. — Nie lepiej dzieje się i na innych polach. Zagwarantowana wolność istnieje na papierze. Lud, pozbawiony warstwy inteligencji, nie ma rzeczników swojej sprawy. Nie ma obrońców praw swoich. Dawna inteligencja, w ostatnich latach już bardzo liczna i świadoma obowiązków pracy społecznej, z chwilą podziału Śląska, w obawie przed prześladowaniami, przeniosła się do części, przypadłej macierzy. Jednostki, niebaczone na groźby i nieulekłe przed terorem, które stanowiska nie opuściły, tworzące dziś szczupłą niestety garstkę obrońców tego ludu i jego swobód, nie są w stanie podać same nawałowi pracy i piętzącym się trudnościom. To też wszystkie oczy obracają się na tych, którzy zasilą tę inteligencję, na synów tego uciśnionego ludu, kształcących się na niemieckich wszechni-

cach. W nich pokładamy całą nadzieję. Oni będą mieć ster sprawy polskiej w ręku i od ich hartu, samozaparcia, poczucia obowiązku i umiejętności wszystko zależeć będzie.

Z natury rzeczy, jako w środowisku najbliższem, skupiała się młodzież akademicka tych stron przy wszechnicy wrocławskiej. Tam już ok. 70 roku ubiegłego stulecia powstała pierwsza polska organizacja akademicka. Narażeni na ustawiczne prześladowania, nie odstępowali jej członkowie na krok od obranych ideałów, ale widząc, że zanoszą się na walkę o byt czy niebyt, tem bardziej hartowali ducha. Po krótkiej egzystencji, z nakazu władz pruskich, rozwiązano organizację. Odtąd polscy akademicy w Wrocławiu, aczkolwiek nie byli zrzeszeni w związku, który odżył dopiero później i trwał do 1919 r. (w ostatnich latach skupiał do 200 członków), łączyli się samorzutnie, wygłaszali dla swego grona odczyty i przyspasabiali się do przyszłej pracy na niwie społecznej i oświatowej. Wiele też nazwisk z tych czasów zapisało się chlubnie w dziejach odrodzenia Śląska.

Nastąpiły ciężkie lata plebiscytowe. Po nieszczęsnym podziale rozszedł się terror na Śląsku Opolskim do ostatnich granic. Solą w oku byli Niemcom polscy księża, lekarze i adwokaci, jako ci, którzy dotąd szli na czele ruchu narodowego. Niemniej ścigano i prześladowano akademików-studentów, upatrując w nich przyszłych przywódców ludu. W tych ciężkich chwilach, kiedy zwątpienie w silnych nawet zrodziło się sercach, zdawało się, że nierychło wyda lud nowych akademików, którzy będą mieć odwagę zrzeszać się w polskim stowarzyszeniu.

Tymczasem stało się inaczej, co dobitnie świadczy o żywotności naszego ludu po tamtej stronie.

„Już w sierpniu 1924 r. — pisze mi mój przyjaciel, kol. K. z Wrocławia — zebrało się w Opolu grono studentów-Górnoślązaków przekonania polskiego i założyło nowy związek akademików-Górnoślązaków pod nazwą „Silesia Superior“, który to związek wzoruje się na dawniejszych polskich organizacjach akademickich, istniejących na Górnym Śląsku. Nie odbiega bowiem wcale od zasad, ideałów i celów, jakie wypisały sobie na swym sztandarze dawniejsze polskie zrzeszenia akademickie. W ścisłym gronie, na konwentach, odbywających się raz w tygodniu, wygłasza się referaty, szczególnie z

dziedziny historii i literatury ojczystej. Oprócz tego pielęgnujemy piękny śpiew polski i poruszamy również tematy z dziedziny społecznej. Obecnie, jako studenci, staramy się wszelkimi siłami o to, ażeby przez samokształcenie się nabyć jak największego zapasu wiedzy teoretycznej i praktycznej, potrzebnej niezbędnie w pracy dla ludu. Chcemy za wszelką cenę uchronić ten lud od zagłady, grożącej mu ze strony zapalczywych i nieubłaganych wrogów, którzy czyhają zarówno na jego narodowość, jako też na jego wiarę katolicką. — Związek nasz w ciągu pięciolecia swego istnienia, na jakie może patrzeć z dumą, położył już pewne zasługi dla Śląska Opolskiego. Zdajemy sobie dobrze sprawę z piętrzących się trudności i czekającej nas ciężkiej walki z naporem niemczyzny, ale mimo to, świadomi swych celów i zadań wobec społeczeństwa polskiego na Śląsku Opolskim, chcemy być zawsze nieugiętymi bojownikami sprawy polskiej, ażeby w przyszłości dla uciemionego obecnie ludu piastowskiego zajaśniało lepsze jutro i nastąpiła lepsza dola.“

Serce rośnie czytającemu te słowa. A więc sprawa, która nie tak dawno wydawała się prawie beznadziejną, nie jest stracona. Udziela nam się zapał, jaki zapłonął w tych kilku młodych sercach i ufamy razem z nimi, że dla ludu polskiego na Śląsku Opolskim musi zaświtać lepsza dola!

Jerzy Lubos.

Brak nam inteligencji górnośląskiej.

Kiedy Górny Śląsk powrócił na skutek woli ludu górnośląskiego na łono ukochanej Ojczyzny, kiedy został do Państwa Polskiego razem z Śląskiem Cieszyńskim wcielony jako Województwo Śląskie, nastąpił w życiu gospodarczym i politycznym tego nowego województwa wielki przewrót. Język polski, wyśmie-

wany i pogardzany przez Niemców, uzyskał prawa obywatelstwa, stał się językiem urzędowym. Lud górnośląski polski poczuł się panem w tej dzielnicy; on miał z pomocą swych braci z dalszych części Polski objąć poopuszczane przez Niemców stanowiska w administracji prywatnej, a szczególnie państwowej. Atoli tak

skomplikowana administracja, oraz tak rozległy aparat urzędniczy, ażeby mógł dalej skutecznie pracować, wymagał bardzo wielu zdolnych, posiadających odpowiednie wykształcenie akademickie ludzi, a przede wszystkim ludzi, znających stosunki górnośląskie i ducha ludu śląskiego. Najlepsze kwalifikacje do objęcia tych stanowisk mieli by sami Górnoślązacy, synowie tej ziemi, którzy, jeżeli przez tyle wieków wiernie i skutecznie bronili polskości tej ziemi, równie dzielnie i skutecznie pracowaliby dla Polski, tym razem na stanowiskach kierowniczych.

Jednakże tu władze polskie, a przede wszystkim ci, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za przyłączenie Śląska do Polski, spotkali się z ogromnymi trudnościami. Okazało się bowiem, że bogaty polski Śląsk nie ma pod dostatkiem ludzi z wykształceniem akademickim, takim, jakie musi posiadać osoba na stanowisku kierowniczem. Niemieckie gimnazja na Górnym Śląsku pod rządami zaborcy wydały wprawdzie bardzo wielu polskich maturzystów, jednakże nieznaczna tylko z nich część zdołała ukończyć uniwersytet. Na dalsze kształcenie się nie pozwoliły im środki materialne, a z drugiej strony wielką przeszkodą w tym względzie był ucisk, wywierany przez władze niemieckie na naszych akademików. Kto chciał uzyskać dyplom niemieckich wyższych uczelni, musiał przestać być Polakiem, wyrzec się swej ojczystej mowy, swej polskości, a nawet musiał niejednokrotnie na zawsze opuścić swe rodzinne strony. W taki sposób utracił Śląsk wielu zdolnych synów. Z tych znowu akademików, którzy nie wyrzekli się swej polskości, a pozostali na Śląsku, pracując śmiało z ludem dla Polski, przeważającą część stanowią księża. W taki sposób doszło do tego smutnego faktu, że kiedy Polacy śląscy uzyskali wolność narodową i połączyli się z Polską, nie było na Śląsku ludzi do objęcia stanowisk kierowniczych.

Podobny brak akademików, brak odpowiednich ludzi na odpowiednie stanowiska, dał się zauważyć w całej Polsce. Jednakże w innych dzielnicach od razu zauważono ten brak i skutecznie zaczęto go likwidować. Pootwierano cały szereg nowych gimnazjów, dając tem samem młodzieży możliwość kształcenia się. Wnet zapełniły się gimnazja i uniwersytety. Dziś zapał do nauki i chęć uzyskania wyższego wykształcenia u młodzieży polskiej doszła do takich rozmiarów, że miarodajne czynniki widzą w tem zjawisku pewną anormalność i poważnie lękają się pewnej przedwczesnej hiperprodukcji inteligencji z wykształceniem uniwersyteckim.

Te głosy ostrzegawcze są zupełnie słuszne, ale odnosić się mogą tylko do innych dzielnic Polski, a nie do Śląska, specyficznie do Górnego Śląska. Jak bowiem Centralny Związek Akad. Górnośl. w Katowicach stwierdził, Górny Śląsk posiada obecnie około 350 akademików-studentów, Górnoślązaków i o ile na Śląsku jeden akademik-student przypada na 2600—2650 mieszkańców, to w innych dzielnicach Polski jeden akademik-student przypada na 750 mieszkańców. Wynika z tego, że Górny Śląsk ma dziś sięć razy mniej studentów, aniżeli inne dzielnice. Następnie tenże sam C. Z. A. G. stwierdził, że w roku ubiegłym zdało w polskich gimnazjach województwa śląskiego 86 uczniów i uczennic Górnoślązaczek egzamin dojrzałości. Jest to rzeczywiście za znikoma liczba na województwo śląskie w porównaniu z innymi województwami.

Stajemy tu wobec trudnego zagadnienia. Górny Śląsk przecież, będąc najbogatszą dzielnicą Polski, nie może dopuścić do tego, by tak znikomy procent Górnoślązaków poświęcał się wyższym studjom, oraz by w zarządzaniu województwem musiał się dać wyręczać akademikom z innych dzielnic. Powinno się

rozpocząć agitację na większą skalę wśród społeczeństwa, aby ono swych synów zdolniejszych posyłało do gimnazjum, a następnie pozwoliło im ukończyć uniwersytet. Agitację tę należy poprowadzić energicznie, a odpowiednie czynniki, związki, czy osoby prywatne powinny w zakresie możliwości poprzeć tę sprawę. Wyprzedziły nas w tym względzie inne województwa, ale to właśnie powinno u nas obudzić większy zapał i chęć szlachetnej rywalizacji.

Przyznać trzeba, że niższe klasy gimnazjów polskich są przepełnione młodzieżą górnośląską, że w klasach tych przeważa element górnośląski. Robotnik zatem górnośląski posyła swego syna czy córkę do gimnazjum, chce, by jego dziecko mogło uzyskać lepsze warunki życia. Jednakże w wyższych klasach zazwyczaj spotykamy już tylko nikłe grupki Górnoślązaków i Górnoślazaczek, a do matury dochodzi jeden, dwóch, trzech, albo też niema żadnego Górnoślązaka. Egzamin dojrzałości składają nie-Górnoślązacy.

Co jest powodem tego niemiłego zjawiska? Ja widzę tu kilka powodów. I tak najpierw gimnazjalista-Górnoślązak pochodzi w 80% z niezamożnej rodziny robotniczej. Nie ma on w domu bogatej biblioteki, od ojca nie może się dowiedzieć nic takiego, coby mu było pomocą w nauce szkolnej; jego inteligencji nie ma kto w domu pobudzać i dalej rozwijać; nieraz nawet nie słyszy czystej mowy polskiej w domu i w dodatku żyje w bardzo skromnych warunkach materialnych. Dziecko, wychowane w takim otoczeniu, napotyka następnie w szkole na takie trudności, że mimo dobrej chęci i silnej woli nieraz nie może im sprostać i musi gimnazjum opuścić. Inaczej ma się sprawa z uczniami nie-Górnoślązakami. Pochodzą oni przeważnie z napływowych rodzin inteligentnych, których ojciec zajmuje wyższe stanowisko na Śląsku. Oni też mogą z domu wynieść i dobre oby-

czaje i pewność siebie i dobrą wymowę polską i więcej wiadomości; nie potrzebują w domu zajmować się wychowaniem swych młodszych braci i sióstr i mają przez to więcej czasu na kształcenie siebie samego. Są przez to lepiej przygotowani do sprostania wymaganiom, stawianym przez gimnazjum, aniżeli dziecko śląskie.

Następnie rodzice uczniów nie-Górnoślązaków zajmują się żywo przebiegiem studjów swego syna, czy córki. Zasięgają wyczerpujących informacji o postępach naukowych i o zachowaniu się swego dziecka w szkole u profesorów na wywiadówkach. Jeżeli uczeń nie może sobie dać rady z przedmiotami, to za wskazówką profesora udzielają mu pomocy w postaci lekcji prywatnych. Pozwalają im na to warunki materialne. Inaczej ma się rzecz w robotniczych rodzinach górnośląskich. Najpierw matka, czy ojciec niechętnie idzie na taką wywiadówkę, ponieważ nie dobrze mówi po polsku i nie potrafi należycie usprawiedliwić ewentualnych braków swego syna, czy córki. — Poza tem niema nieraz odpowiednich środków, aby synowi swemu, czy córce pomóc w nauce przez wystaranie im się o lekcje prywatne.

Dalej podnieść tu należy jeden moment, wprawdzie niemiły, niemniej jednak prawdziwy. Mianowicie średnie szkolnictwo, bo tylko o niem piszę, zostało opanowane przez nie-Górnoślązaków. Musiało się tak stać, ponieważ Śląsk nie miał swych fachowych sił, jak ich jeszcze teraz nie posiada i musimy być wdzięczni wszystkim paniom i panom, którzy przybyli na Śląsk, by pracować w szkolnictwie. Inaczej bowiem trzebaby było zamknąć gimnazja. Otóż panowie profesorowie i panie profesorki niejednokrotnie za ostro oceniają odpowiedzi Górnoślązaków, biorąc przy ocenie pod uwagę więcej stronę estetyczną, w tym wypadku językową, aniżeli samą treść odpowiedzi.

Rzecz atoli jasna, że dziecko śląskie, nie mówiąc w domu czysto po polsku, ma w gimnazjum wielkie trudności językowe i takie przedmioty, jak łacina, greka, francuskie, czy matematyka, są dla niego podwójnie trudne, raz, że nie rozumie dobrze wyrazu obcego, czy też pewnej rzeczy z matematyki, po drugie: nie rozumie odpowiedniego wyrazu polskiego. Nauczyciel tego zazwyczaj jednak nie uwzględni, ale daje za odpowiedź gorszą notę, a rezultat ten, że chłopak, czy panienka zniechęca się do danego profesora, a równocześnie i do przedmiotu. Żyje pod tem wrażeniem, że się go specjalnie krzywdzi, że gimnazjum nie skończy, dopóki dany profesor, czy profesorka będzie w gimnazjum. W ostateczności odchodzi z gimnazjum z klasy IV, V, czy VI bez matury, z życiem złamanem. Społeczeństwo nie ma z niego pożytku, przeciwnie — jest tylko ciężarem dla społeczeństwa o tyle, że ma pretensje do powagi i stanowiska człowieka wykształconego, chociaż tego wykształcenia nie posiadał w całej pełni.

Temu złu trzeba zaradzić, bo powaga chwili, jako też życie na Śląsku tego wymaga. Sposoby na to byłyby — zdaniem mojem — następujące: Należy zorganizować opiekę nad naszymi gimnazjalistami. W każdej większej miejscowości znajduje się proboszcz, nauczyciel szkoły powszechnej lub też inny inteligent. Jeden z nich, w najlepszym wypadku sam ks. proboszcz, zbierze co miesiąc u siebie gimnazjalistów swej parafji i pomówi z każdym z nich o jego warunkach domowych i postępkach w gimnazjum. Zapyta się, jaki stosunek zachodzi między nim a profesorem, w jakich przedmiotach ma trudności i t. d. Następnie uda się do danego gimnazjum i pomówi z pp. profesorami o tych uczniach, którymi się opiekuje. Jeżeli będzie potrzeba udzielić komuś lekcyj prywatnych, to może wśród swych wychowanków utworzyć rodzaj organiza-

cji samowystarczalnej, tak, by lepszy uczeń pomagał słabszemu za minimalnem wynagrodzeniem. W każdym razie ksiądz proboszcz będzie starał się wytłumaczyć pp. profesorom ewentualne braki swych wychowanków, jak to zazwyczaj się robi na wywiadówkach; będzie zastępował rodziców i będzie zachęcał swych uczniów do wytrwałości i pilności.

Tę dobroczynną akcję może ksiądz proboszcz prowadzić z pomocą ks. wikarego, nauczyciela szkoły powszechnej lub innego inteligenta. Pożądanem byłoby, by inteligencja miejscowa urządzała herbatki, czy też inne wieczorki w miarę możliwości, na których nasza młodzież mogłaby przyswoić sobie formy towarzyskie, tak potrzebne w życiu.

Uzupełnieniem takiej akcji byłaby podobna praca profesorów gimnazjalnych. Dziś mamy przecież w każdym gimnazjum profesora, czy profesorkę Górnoślązaczkę. Oni też powinni w swoim zakresie pomagać naszej młodzieży, powinni zapoznać się z jej rodzinnymi warunkami i trudnościami naukowymi. W miarę możliwości mogliby pomóc naszej młodzieży przez udzielanie jej wskazówek nauki, przez poparcie u innych profesorów, a przede wszystkim ciepłymi słowami zachęcać do pilności i wytrwałości. Akcja w taki sposób przeprowadzona da zapewne za kilka lat dobre rezultaty i liczba naszych akademików znacznie wzrośnie. Tego wszyscy pragniemy. Naszym akademikom należy znowu w pierwszym rzędzie pomagać materjalnie, ponieważ studjum zdala od rodziny wymaga więcej środków materjalnych. Wszyscy jednak, którzy pragniemy wzmocnić szeregi śląskiej inteligencji, powinniśmy datkami wspierać Śląską Pomoc Naukową w Katowicach, która w sposób sprawiedliwy udziela naszym akademikom wydatnej pomocy i stara się o to, by młodzież nasza akademicka jak najwcześniej skończyła studja i objęła stanowiska na Śląsku.

RECENZJE.

Dr. Józef Pieter.

„SERCE ZA TAMĄ“.

Refleksje o zbiorze nowel Gustawa Morcinka.

Niebogata jest dotychczasowa literatura piękna na Śląsku. Przedstawicielei jej możnaby nieledwie na palcach policzyć, poza tem zaś to, co pisano wierszem i prozą, posiadało wartość tylko regionalną. Taki stan śląskiego piśmiennictwa ma swoje przyczyny, ale w to nie możemy wchodzić.

Natomiast z tem większą radością trzeba zanotować i stwierdzić fakt, że wśród młodej generacji literatów znalazł się talent wybitny, mogący godnie reprezentować Śląsk na szerokiej arenie polskiego piśmiennictwa, wzbogacający swą twórczością nietylko zaściankową, regionalną literaturę.

Talentem tym jest Gustaw Morcinek. Rozpocząwszy parę lat temu karierę pisarską nowelami, ogłaszanymi w dziennikach śląskich, odrazu zwrócił na siebie uwagę barwnym stylem i umiejętnym wplataniem gwary do języka literackiego. Że zaś za temi zewnętrzными wartościami umiano w nim docenić mocny i oryginalny talent artysty, okazał wynik konkursu literackiego Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, gdzie ze 176 zgłoszonych powieści powieść G. Morcinka „Byli dwaj bracia“ zdobyła pierwszą nagrodę.

Wcale nie przypadkową była ta nagroda oraz nadzieje, związane z debiutującym pisarzem. Wydany bowiem z końcem ubiegłego roku tom nowel tegoż autora p. t. „Serce za tamą“ w całej pełni potwierdza wybór i sąd jury poznańskiej. Nowelami temi — kilku z nich nie waham się nazwać prawdziwymi arcydziełami i klejnotami polskiej bogatej nowelistyki — dowiódł ich autor, że jego „pazur“ pisarski nie jest sztuczny, a rozgłos i uznanie,

dotąd osiągnięte, odpowiada wewnętrznej wartości jego produkcji literackiej.

Wyrazem zewnętrznym uznania dla autora „Serca za tamą“ jest cały szereg nader przychylnych recenzyj w prasie codziennej i to nietylko śląskiej. Nie mam zamiaru dorzucać do już istniejących jeszcze jedną pochwałę. Chcę natomiast odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektóre nowele G. Morcinka nazywam arcydziełami. Wartość ich artystyczną ocenić można i trzeba z dwóch punktów widzenia, a więc najpierw ogólnie „estetycznego“, następnie ze stanowiska dotychczasowego rozwoju beletrystyki, wogóle zaś piśmiennictwa śląskiego. Obie zasady oceny uważam w tym wypadku za równie ważne.

Rozpocznijmy od pierwszej. Przywykliśmy uważać za nowelę krótkie, wewnętrznie zwarte, pełne dramatycznego napięcia opowiadanie, czerpiące motywy swej treści z życia ludzi, jak i zwierząt. Nie każde krótkie opowiadanie nazywamy wobec tego nowelą i jest faktem uznanym, że trudniej jest napisać dobrą nowelę od stokrotnie dłuższej przeciętnej powieści.

Nowele G. Morcinka odpowiadają w całej pełni nietylko uznanym tradycyjnym wymogom „sztuki pisarskiej“, ale także i przede wszystkim nie ujętym w prawidła warunkom oceny i „wzruszenia estetycznego“ u indywidualnego czytelnika. — Oparte na „zdarzeniach“ i motywach treściowych, niepozornych, dających się ująć w kilku zdaniach, są one pełne wewnętrzznego działania i ruchu, jeśli tak nazwać można lawinę narastających emocyj u bohaterów, o których w nich mowa. Są przez to naprawdę dramatyczne i to ich największa zaleta. Nie wszystkie są wprawdzie takie właśnie, niektóre z nich, to wyłącznie „krótkie opowiadania“, a nie nowele, ale te, które są *nowelami*, są niemi w zupełności. Są niemi więc przede wszystkim opowiadania z życia górni-

ków, które autor zna i odczuwa znakomicie. Na pierwszym miejscu śmiałybym postawić „Serce za tamą“, nowelę pierwszą w zbiorze, który też według niej został zatytułowany. Treść jej równie prosta i krótka, jak dramatyczna i sercem targająca. Godna, aby stanąć obok genialnych arabesków Poe'go lub „Złego spojrzenia“ Żeromskiego. Oczywiście w ogólnym charakterze: Stary górnik-maszynista Pawlita stracił wiele lat temu swego jedynaka w sztolni, zasypanej wybuchem gazu i przerwaniem tamy wodnej. Życie i serce jego złamane, zwłaszcza, że sam niechętny dołożył cegielkę do śmierci syna, pomagając gorączkowo w budowaniu tamy nowej, oddzielającej żywych od zalanej wodą reszty kopalni. Pracował wprawdzie nadal, ale serce synowskie z poza tamy nie przestało go wołać. I oto cichy, sumienny Pawlita zdobył się na czyn straszny... po dwudziestu latach. Mając przypadkowo pod ręką naboje dynamitowe, nieostrożnie pozostawione jego opiece, wysadził niemi nową tamę. Przestało go wołać serce z za tamy, ale zginęły i setki górników. — Treść tytułowej noweli podałem tylko jako przykład. Nie wszystkie są równie tragiczne, ale większość z nich jednakowo emocjonująca, jednakowo przykuwająca do siebie uwagę czytelnika. Jednakowy zaś i wspólny mają wszystkie nowele G. Morcinka rys, widoczny już nawet w streszczeniu pierwszej. Akcja, ruch, działanie, jednym słowem to, co nazywam ich dramatycznością, nie polega na działaniu zewnętrznym, przestrzennym, jak naprzykład w przeważnej ilości nowel Londona, ale raczej na ewolucji, czy też może lepiej rewolucji uczuciowej. Jest więc w nich to, co się w przenośni nazywa sercem. Jak zaś słusznie we wstępie do tych nowel zaznaczyła p. Kossak-Szczucka, jest w nich słoneczne serce. Z każdej z nich wyziera bowiem współczucie uśmiechnięte i rozumiejące ból, nędzę, cierpienie, zwłaszcza u tych „maluczki“, u których tak rzadko spostrzega się przejścia i kryzysy we-



Gustaw Morcinek, autor książki „Serce za tamą“.

wewnętrzne. Ale w tem słonecznym współczuciu niema wcale tuzinkowego sentymentu, jest rzetelne *wczucie się* artysty w dusze ludzi „drobnych“. (N. p. nowela o Kubiczku, który strugał konika dla inżynierowej Marzenki lub o ułomnym i „głupim“ Bulandrze, którego wiara zdołała uratować zasypanych górników: „Wiara“.)

Słoneczna sympatja dla swych bohaterów, pulsujące uczucie, tworzące nurt ewolucji wewnętrznej prawie we wszystkich nowelach Morcinka, posiada swą stronę charakterystyczną. Oto tłem, osnową lub zakończeniem rzeczonyj ewolucji wewnętrznej jest *krzywda* w najrozmaitszej postaci, krzywda, wyrządzona komuś czy to przez przypadek, czy przez głupotę lub złą wolę człowieka. Skrzywdzony jest Kubiczek za swą promienną życzliwość dla małej Marzenki, zniweczona jego radość brutalnym odepchnięciem i wyśmianiem ze strony Zuzki, służącej, inżynierowej i inżyniera, ale i samej Marzenki, skrzywdzony jest stary Pawlita przez los, który mu zabrał jedyne go syna, skrzywdzony nie-

zdarny Zeflik Motyczkulin przez swych kolegów i t. d. Ten to motyw krzywdy tworzy jakby osad smętku, refleksji i zadumy na nowelach i u czytelnika. Ale mimo to nie można twierdzić, aby owe nowele stały się wskutek tego „sentymtalne“, melodramatyczne. Tło uczuciowe nie zakłóca wcale — przynajmniej w nowelach, które są sobą, t. j. właśnie nowelami — dynamiki akcji i jej prawdziwie mistrzowskiej zwartości. Bo naprawdę z tych właśnie nowel nie podobna odjąć ani jednego zdania, ani także i dodać. Każde słowo potrzebne i na swoim miejscu.

Jak już zaznaczyłem, niejednakowa jest ich wartość. Największe wrażenie i najwięcej estetycznego zadowolenia przynoszą te, które są osnute na tle życia górniczego. Udatne są również opowiadania z czasów przelomowych, gdy Austria na Śląsku się waliła, a Polska na jej miejscu się budowała. Niektóre z nich są pełne tryskającego i rzetelnego humoru (naprzykład: „Długie nogi“, „Jak to kapral Cwiekała poszedł na wywiad“), a jednak nie są już takie, jak „górnice“. Już więcej powieściowe, nie tak, jak tamte, wewnętrznie spoiste, z akcją raczej przypadkową, aniżeli z determinowaną zgóry „mechanizmem“ uczuć, nie dają już tej specyficznej, „oczyszczającej“ radości, jaką przynosi w równej mierze dobry dramat i dobra nowela. Wartość kilku z nich leży głównie w ich humorze. Jedna z pośród tych „żołnierskich“ nowel wyróżnia się swą oryginalnością. Jest to „Noc listopadowa“, której wątek stanowi... miłość przez telefon, zadzierzgnięta pomiędzy telefonistą wojskowym Zarembą na dworcu cieszyńskim, a telefonistką głównej komendy w Krakowie — jasnawłosą Maniutką. Nowela ta, przepojona szczerym i naturalnym liryzmem, wskazuje, że skala motywów i zdolności twórczych u jej autora jest wcale szeroka.

Słabsze w porównaniu z „górniczemi“ i „wojennemi“ są nowele-opowiadania,

których tło wzięte jest „z cieszyńsko-śląskiej wsi“ i miasteczka. I tak naprzykład po reymontowsku stylizowana „Kwietniowa noc“ ma fabułę dość nieoczekiwaną, zaś zakończenie cklewe i z niedzisiejszych czasów, gdy bogata dziewczucha gospodar-ska, córka wójta, wychodzi zamąż za ubo-giego syna chałupnika, który ją uratował przed ścigającymi ją chłopami, czatującymi w nocy z widłami... na czarownicę. Tak samo „Mój przyjaciel“ i „Pokrzywdzone serce“, wybitnie autobiograficzne, nie całkiem harmonizują ze wspianiem „Sercem za tamą“ lub z „Wiarą“. Oczywiście nie jest to wcale zarzut pod adresem autora. Talentu nie ocenia się bowiem ostatecznie według tego, co możnaby nazwać tworem pośpiechu, ale według tego, czy i jak coś zrobił doskonale i wyczelował. Tego rodzaju ocena wypada zaś dla G. Morcinka niezwykle dodatnio.

Wartości estetyczne „Krzywdy“, „Serca za tamą“ i podobnych nowel są oczywistym dowodem, że ich autor nietylko ma talent „z bożej łaski“, lecz że już w dotychczasowej swej twórczości stanął na poważnej wyżynie artystycznej.

Nie zastanawiałem się dotąd nad językiem omawianych nowel. Zrobiłem to umyślnie, jakkolwiek niewątpliwie język stanowi, nawet z czysto estetycznego punktu widzenia, zawsze jeden z najważniejszych momentów każdego utworu literackiego. Powiedziałem wszakże, że na nowele G. Morcinka trzeba patrzeć jeszcze ze stanowiska dotychczasowego rozwoju i tendencyj śląskiego piśmiennictwa. Nowele G. Morcinka wyraźnie i świadomie do tych tendencyj nawiązują, o tyle też są z niemi organicznie splecione. Otóż zasadniczym problemem ząbkującej polsko-śląskiej literatury było wprowadzenie gwary do języka literackiego. Stwierdzić wszakże trzeba, że doniedawna zagadnienie to nie znalazło należytego rozwiązania. W podjętych w tym kierunku mniej lub więcej uświadomionych próbach wycho-

działa gwara dość sękatą w skojarzeniu z mową literacką. Oczywiście taki stan rzeczy nie miał wcale przyczyny (w podnoszonych niekiedy rzeczowych właściwościach gwary (cieszyńskiej), ale w braku ku „harfiarzy“, którzyby, podobnie jak to uczynił Tetmajer z narzeczem Podhala, w sposób umiejętny i artystyczny umieli się posługiwać dialektem w twórczości literackiej, pisanej zasadniczo po polsku. W latach ostatnich zaczyna się powyższa sprawa kształtować całkiem pozytywnie, zwłaszcza że jest ona dziś zagadnieniem naczelnym młodej generacji literatów śląskich. Wśród nich należy się tutaj niewątpliwie pierwsze miejsce powieściom i nowelom G. Morcinka. Nie przesadzę nawet wcale, jeśli postawię twierdzenie, że w nich po raz pierwszy weszło cieszyńskie narzecze triumfalnie do *polskiej* literatury. Szczęśliwe skojarzenie „ślączyzny“ udało się coprawda też i innym przedstawicielom współczesnego regionalnego piśmienniczego ruchu na Śląsku, n. p. P. Musiołowi, ale twórczość G. Morcinka ma tu *pierwszeństwo* debiutu w szerokich kołach polskich czytelników.

Sprawę powyższą uważam za niezmiernie doniosłą nie tylko ze stanowiska regionalistycznego, dlatego też pozwolę sobie jeszcze parę słów jej poświęcić, a mianowicie przez odpowiedź na dwa pytania: jaka jest gwara nowel „Serca za tamą“, czyli jak ich autor wplata ją do swych opowiadań, oraz jakie znaczenie może mieć rozpowszechnianie cieszyńskiej gwary (i wogóle śląskich narzeczy) w literaturze pięknej?

Co się pierwszego tyczy, zaznaczyć można w pierw ogólnie, że gwara, którą się posługuje w swej artystycznej produkcji G. Morcinek, wcale nie jest dialektem „czystym“. Rozumiem przez to, że bynajmniej nie jest ona wiernie i „naturalistycznie“ oddana. Można ją przeciwnie nazwać *stylizowaną*, a to w tem znaczeniu,

że przedewszystkiem pouśmiał autor w bardzo wielu wyrażeniach tak charakterystyczne dla ślączyzny pochylenia samogłoskowe, powtóre zaś w wielu wypadkach posługują się jego bohaterowie (tam, gdzie mówią) słowami literackimi, zamiast niewątpliwie używanych w danej sytuacji wyrażen śląskich. (Odchylen tych i innego rodzaju jest więcej, ale to jest obojętne w obecnym rozważaniu.) Stwierdzenie powyższych faktów nie jest oczywiście wcale równoznaczne z ujemną krytyczną oceną. Raczej wręcz przeciwnie. Dlatego właśnie, że autor starał się powyglądać (zapewne najczęściej intuicyjnie) różnice między językiem i formą „zdań od siebie“ (t. j. polskich), a mową zdań „od bohaterów“, obydwie klasy zdań zbliżają się do siebie, zaś twarda mowa i wymowa górnika i chłopca zaczyna się podobać dzięki tym swoim właściwościom, które czynią język Ślązaków tak niezmiernie plastycznym, soczystym, obrazowym, bogatym, no i nienajmniej: staropolskim. Innemi słowy, właśnie dzięki *stylizacji* nabiera w utworach Morcinka narzecze cieszyńskie *równorzędnej* wartości artystyczno-literackiej, co mowa Podhala w twórczości Tetmajera lub kujawszczyzna w „Chłopach“ Reymonta. Nie znaczy to jednak wcale, że tylko w ten sposób można narzecze śląskie stylizować, jak to uczynił autor „Wiary“, lub że on wogóle i jednoznacznie rozwiązał zagadnienie wprowadzenia gwary do literatury. Raczej przeciwnie. Uważam wynik jego pracy i talentu za świetny *początek* długiej linii rozwojowej, która może także i innych kształtów nabrać. Zresztą trzeba dodać, że autor nowel opanował i posługiwał się w nich dobrze litylko *mową górników*, a więc „karwińszczyzną“. Dialekt „wiejski“ pozostawia u niego tu i ówdzie coś do życzenia. Niepotrzebnie n. p. użył w nim parę czechizmów, wcale nieużywanych. Ale to są rzeczy i usterki drugorzędne w porównaniu z faktem oczywistym, że „Serce za tamą“, to pod omawia-

nym względem językowym praca pionierska o niepośledniej wartości i znaczeniu.

Jakież może być to znaczenie? Łąco sobie uprzytomnić. Śląsk jest prawie nieznan, lub co najmniej tylko pobieżnie i jednostronnie znany polskiemu społeczeństwu mimo trwającej do dziś psychozy plebiscytowej, t. j. mimo uczuciowej ciekawości u inteligencji polskiej dla spraw tej tak ważnej ziemi kresowej. Już więc z tego względu może mieć i zapewne będzie miała wielkie znaczenie *propagandowa* literatura piękna tej miary i stylu, co nowela G. Morcinka, w której czytelnik zapoznaje się z gwarą śląską, a przez jej pryzmat ze śląskim ludem i folklorem.

Z drugiej strony można już dziś przewidywać z całkowitą pewnością, że narzecz śląskie w taki sposób (t. j. artystyczny) kolportowane po centrach polskiej literatury, wpłynie ożywczo na tak błady powojenny rozwój tejże i na niemniej błady i bezkrwisty współczesny polski język literacki. Tysiące wspaniałych zwrotów, porównań i staropolskich wyrażeń pozwoli mowie miejskiej zacerpnąć trochę powietrza dawnych rejowskich czasów, w postaci Reja już dla nas i dla tendencyj rozwojowych języka polskiego nieaktualnych. Bez perjodycznej regeneracji, spowodowanej wtargnięciem na forum literatury ludowych gwar, żaden język miejski i książkowy pomyślnie rozwijać się nie może. Spodziewać się zaś należy, że w wypadku języka i literatury polskiej po okresie narzecz zakopiańskiego i kaliskiego przyjdzie niemniej płodny, a może jeszcze płodniejszy okres narzecz śląskiego.

Wtedy zaś dopiero należycie uwypuklić wartość nie tylko literacko-estetyczną, ale i ogólnie kulturalną „Serca za tamą“, czyli twórczości, reprezentowanej dziś na Śląsku przez G. Morcinka i pokrewnych mu duchem, talentem i zamiarami literatów.

K r a k ó w, 22. II. 1930.

ROCZNIKI TOWARZ. PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU. Katowice dają znać o sobie, że i tętno kulturalnego życia, młode, bo istniejące od 1920 roku w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, intensywnie i powiedziałbym gorączkowo, a wszechstronnie pracuje, co ilustruje 295-stronicy tom rocznika. Sięga po wszystkie arterje życia umysłowego. Dr. Tadeusz Dobrowolski dał rys pracy w „Muzeum Śląskiem“ katowickiem, które zaczyna zaciekawiać zbiorami i szeroką miarą ujmowania zagadnień regionalnej sztuki śląskiej, ale *coram publico* Polski i Europy. Niemcy tam nie zdobyli się na coś podobnego, gdy Polska w niespełna parę lat otworzyła oczy, czem jest Śląsk. Szereg prac rzeczowych, ujętych gruntownie, nacechowanych naukowością i miłością Śląska, winien z rocznika uczynić „książkę dla wszystkich“ na Śląsku, bo na to w pełni zasługuje. A kiedy „roczniki“ zdobędą się i na osobne dodatki ilustrowane, będą najcenniejszym przyczynkiem do dziejów tej ziemi z twardej przeszłości, a z coraz to jaśniejszej przyszłości pod niebem: „Serrenissimae Reipublicae“.

M. A. J.

I. Rocznik Oddziału P. T. T. „Beskid Śląski“ w Cieszynie. Cieszyn, 1930. Nakład P. T. T. „Beskid“.

Z okazji 20-lecia istnienia Towarzystwa „Beskid Śląski“ pokazał się pod redakcją Dr. Jana Galicza pierwszy Rocznik, poświęcony historii Tow., oraz zagadnieniom, związanym z przyrodą gór. Naczelne miejsce Rocznika zajmuje artykuł Dr. Galicza, przedstawiający w żywym i jasnym ujęciu historię Towarzystwa, etapy jego usilnej i konsekwentnej pracy, która, mimo licznych niepowodzeń, doprowadziła do imponujących rezultatów. Ludność nasza korzysta dziś z 3-ech schronisk, z których najpiękniejsze na Stożku, zbudowane zostało przez „Beskid Śląski“. To też należy spodziewać się rychłego urzeczywistnienia na-

dziei autora, „że nasze piękne góry, w których doniedawna gospodarowali Niemcy, zarają się od turystów polskich i odzyskają charakter gór polskich, jaki jedynie posiadać powinny.“ „Bramą wypadową“ w Beskidy Zachodnie — to miasto Bielsko. Jest ono punktem wyjścia dla turystycznych wycieczek i z tego też stanowiska ocenia jego znaczenie inż. K. Markiewicz. Krótki rys informacyjny Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid“ w Orłowej (Czechosłowacja) i jego wysiłki, które doprowadziły do ukończenia pięknego schroniska na Kozubowej, przedstawił ks. Józef Berger. Reszta artykułów — to cenne próbki opisowo-przyrodniczego ujęcia wartości naszych gór. Insp. Karol Buzek, znany autor cennego opracowania o geologii Śląska Cieszyńskiego, podaje krótką geologiczną ich strukturę, prof. Józef Król z właściwą sobie ścisłością mówi o warunkach klimatycznych na Śląsku Cieszyńskim, Dr. K. Simm opisał wyczerpująco ciekawe egzemplarze cisów na Śląsku, ilustrując swe wywody 3-ma, niestety — niezbyt wyraźnie wychodzącymi fotografiami, prof. Cienciala dał krótki obrazek osobliwości przyrody u źródeł Wisły, wskazując na grożące jej niebezpieczeństwa, cytując zarazem memoriał P. T. T. oddziału w Cieszynie, zredagowany przez Dr. Simma w sprawie utworzenia rezerwatu u źródeł Wisły. Beskidy przedstawiają doskonałe tereny narciarskie, które zwróciły uwagę członków Zarządu Tow., z których inicjatywę założono w r. 1921 Sekcję Narciarską. Krótki szkic jej rozwoju przedstawił p. Kurniawa. Część sprawozdawcza wprowadza czytelnika w tok samej działalności Zarządu, której bilans wyraził się w ostatecznym zamknięciu rachunkowym, wskazującym na to, że finansowa strona Tow. przedstawia się znakomicie. Forma zewnętrzna Rocznika zadawalająca. N.

Polacy w Czechosłowacji, opracował Franciszek Kulisiewicz przy współudziale Polskiego Komitetu w Czechosłowacji dla P. K. W. w Poznaniu. Nakład Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji, Zarząd Główny — Czeski Cieszyn, Illicha 29.

Bezpośrednim celem „Zarysu informacyjnego“, wydanego przez Macierz Szkolną w Czechosłowacji było uzupełnienie ekspozatów, złożonych przez Polaków w Czechosłowacji na P. W. K. w Poznaniu, pośrednio zaś miał dać syntetyczny rzut oka na całokształt pracy duchowej i materialnej ludności polskiej Śląska Cieszyńskiego, która po fatalnym rozstrzygnięciu Rady Ambasadorów z d. 28. VII. 1920 r. skazaną została na torowanie sobie nowych dróg o własnych siłach. Stwierdzić należy, iż książka ta cele swe spełniła całkowicie. W retrospektywnym ujęciu, treść jej zahacza o problemy i zagadnienia, odnoszące się do całości Śląska Cieszyńskiego, gdzie do r. 1918 organizacja pracy kulturalno-oświatowej spoczywała w rękach tych samych ludzi. Na tem podłożu rozpoczętej pracy opiera się gmach nowo-wzniesionego dzieła, dokonanego w warunkach cięższych, z niemniejszą jednak konsekwencją i logiką. Do pracy o nowych wytycznych stanął hufiec ludzi, którzy obok dawnych, zahartowanych pracowników, że tylko wspomnę dyr. gimn. Feliksa, znakomitego organizatora, niestrudzonego społecznika, cennego wychowawcę młodych, mających się dopiero pracy, wnoszą cegiełkę po cegiełce do wspólnej budowli. Bilans ich dziesięcioletnich trudów — imponujący. Kto chce się o tem przekonać, niech wertuje z uwagą bogaty w treść „Zarys informacyjny“. Na całokształt tej pracy składają się drobne szkice, traktujące o geografii Śląska Cieszyńskiego, historii, folklorze, życiu naukowym i artystycznym, organizacji oświaty, związkach kulturalno - oświatowych i religijnych, wychowaniu fizycznym, sportach, tury-

stycie, współdzielczości, zrzeszeniach politycznych, prasie i t. d. — jednym słowem, każda dziedzina wytwórczości znalazła tu swój właściwy wyraz. Najciekawsze zestawienia statystyczne spotykamy w rozdziałach o szkolnictwie i ruchu spółdzielczym. Całość zdoła przeszło 100 ilustracyj w tekście. Praca przekracza teren Śląska Cieszyńskiego w szkicu o działalności Związku Szkolnego na Morawach, którego podwaliny podłożyło T. S. L. w r. 1898. O lojalnem ustosunkowaniu się naszych współrodaków do państwa czeskiego i społeczeństwa świadczy dążność stworzenia wspólnej platformy działania na terenie klubów polsko-czeskich, której to działalności książka poświęca osobny rozdział. Przewodnią ideą działalności jest propagowanie kulturalnego zbliżenia polsko-czeskiego w ramach postulatów mniejszości polskiej w Czechosłowacji, które w myśl słów pisała Dr. Wolfa streszczają się w dążeniu do zachowania narodowego stanu posiadania, języka, kultury, przy równoczesnem zachowaniu lojalności wobec państwa. Osobne uznanie należy się p. prof. Kulisiewiczowi za jasny i przejrzysty układ materiału, składającego się w swych syntetycznych rzutach na piękną całość. Jak widać z podanej literatury, „Zaranie Śląskie“ dostarczyło wydawcom cennego materiału w opracowaniu niektórych dziedzin życia duchowego Śląska. Odnosnie do życzenia, wyrażonego na 13 stronie książki, aby redakcja wznowionego kwartalnika „nie zapomniała o Śląsku czeskim“, autor tej drobnej notatki żywi nadzieję, że to pium desiderium urzeczywistni się w całej pełni w tem mocnem przekonaniu, że redakcja „Zarania Śląskiego“ przy dobrej chęci znajdzie i tam pewnie pracowników wśród nauczycielstwa polskiego.

Fr. Cz.

„Dzień Katowic“ w Polskim Radju w Katowicach.

Zagraniczne radjostacje, zwłaszcza niemieckie, od dawna wprowadziły w swój program regionalizm dotyczącej połaci kraju. To samo czynią Czesi i Francuzi. Muzyka ludowa, śpiewy, tańce, odczyty, słuchowiska regionalne składają się na bogatą mozaikę kulturalną, nigdy nie mogącą spowszednieć, dzięki której radjosluchacz choćby na drugim krańcu Europy uczy się miłować przedstawiony region.

U nas w Polsce uczyniono już pierwsze próby w tym kierunku. Był już „Dzień Wilna“, w lutym zaś „Dzień Katowic“. Wszystkie stacje polskie transmitowały wówczas program, nadawany z wileńskiej czy katowickiej stacji. Szczęśliwy to pomysł. W „Dniu Katowic“ nie tylko cała Polska, ale i zagranica słyszała potężny rytm pracy Ślązaka i jego maszyn, słuchała skowytu transmisji w hutach i walcowniach, łoskotu perlików i wiertarek w podziemiu kopalni, ryku szalejących płomieni w elektrycznych piecach Chorzowa. Trud robotnika śląskiego stał się każdemu tak bliski, jakby go własnymi oczyma oglądał. Pieśni i tańce śląskie, odtworzone przez zespół góralski z Istebnej, fragment z p. Ligoniowego „Wesela śląskiego“, muzyka śląska, odczyty, dialogi — wszystko to godnie spełniło swe zadanie. Był to znowu jeden ogromny krok, zmierzający do odkrycia Śląska wobec całej Polski. Pod adresem dyrekcji Polskiego Radja w Katowicach skierowaćby należało się z życzeniem, żeby w przyszłości było więcej takich dni, w których przedewszystkiem słowo i pieśń śląska rozchodziłyby się mogły w ten sposób po całej Polsce i Europie.

-gem-

MATERJAŁY.

WISŁA I JEJ MIESZKAŃCY.

(SZKICE.)

Z przeszłości.

Przeszłość wiślanina wywarła niezatarte piętna na jego charakterze. Jednego wszelako wieki nie zdołały w nim zmienić. Cennym tym skarbem, to jego język macierzysty. Oderwany niegdyś wraz ze Śląskiem od kraju rodzinnego, zachował jednak swój język polski do dziś prawie niekniętym. Tylko pod względem wyznaniowym uległ on całkowicie prądom reformacyjnym i należy dotąd prawie wyłącznie do kościoła ewangelickiego. Katolików jest nieznaczny procent. Pomiędzy obu wyznaniami zachodzi jednak stosunek jak najlepszego współzycia.

Ciężkie przejścia w czasach poreformacyjnych za książąt śląskich zamknęły usta góralowi, a serce jego napełniło się niedowierzaniem względem osób obcych. Utrata szałasów i nieszczerzy stosunek personalu leśnego byłych dóbr arcyksiążęcych do górala uczynił go jeszcze więcej nieufnym względem każdego nowoprzybyłego. Jeszcze dziś rys ten cechuje jego duszę. Czując się pokrzywdzonym, a przytem bezsilnym wobec przemocy władz austriackich, znienawidził „panów“, którym to mianem cechował głównie funkcjonariuszy kameralnych i władz administracyjnych i odpłacał się im tą samą monetą. Poza tem jednak cechuje górala wiślańskiego dobroduszość, łagodność i nawet potulność. Kradzieże też i bójki zdarzają się nader rzadko z jego strony. Bezpieczeństwo swobodnego poruszania się jest zupełne na całym terenie Wisły, podnoszą to z uznaniem sami goście-letnicy. Tylko pijaństwo plami jeszcze wiślańskiego górala, nie z jego wyłącznie winy...

Po utracie szałasów nie mógł się utrzymać na skąpo rodzącej resztkę ziemi. A

że zgłębiła go także „pańszczyzna“, więc nie dziw, że popada w nędzę. Chata jego staje się wspólnym mieszkaniem wraz z jego dobytkiem oborowym, a zarazem siedliskiem chorób. Ciężar ten stara się złagodzić wychodźstwem albo też obfitą konsumpcją alkoholu, którego w postaci „gorzałki“ i „rozolki“ obficie dostarczała komora arcyksiążęca w Cieszynie-Błogocicach przez rozlewnię wódki i piwa w Wiśle samej. Wisła przodowała wtedy w pijaństwie góralom beskidzkim. Stosunki te zmieniły się na lepsze głównie po rozpadnięciu się państw zaborczych. Dzięki rozbudowie szkół po wielkiej wojnie przez władze polskie, nastąpił radykalny zwrot ku lepszemu w kierunku oświaty i dzięki życzliwemu zaopiekowaniu się przez te władze także gospodarczą stroną Wisły. Góral wiślański nie musi już „odchodzić od ston ojczystych“, jak to pieśń o nim głosi, bo znajdzie już chleb we własnej wiosce. Szkoda tylko, że przemysł jego domowy (tkactwo, koronkarstwo, garncarstwo, wyrób sukna domowego i t. d.) zanikł prawie całkiem. Koronkarstwo tylko zasługuje jeszcze na większą uwagę. Zabytki z dziedziny zdobnictwa ludowego (malarstwo na „tróhłach“, „odmaryjach“, ozdoby drzwi i odrzwi, belek sufitowych, naczyń szalaśniczych, pasów i t. d.) godne są jeszcze uwagi. Reszta, to rzeczy raczej muzealne.

Ludność tubylecza wiślańska jest rdzenie polska, a dzięki konserwatywności i odcięciu wieńcem gór od dalszego otoczenia, oraz przez szacunek do polskich ksiąg religijnych z czasów Reja i Kochanowskiego, zachowała swój język w stanie nieskażonym prawie.

Dialekt miejscowy.

Język potoczny wiślanina nie odpowiada właściwie temu, co nazywamy narzeczem, lecz jest raczej mało zmienionym za-

bytkiem języka staropolskiego z okresu pierwszych naszych pisarzy (wieku XVI). Nie ma on nic wspólnego z gwarą wielkopolską, zachodnio-małopolską, górnośląską z końcówką czasownikową -ta (niesieta, pójdzietta i t. p.), ani z kaszubską z odmienną wymową s, z, c, dz (sedzec, zemia, casto, dzece), ani z mazurskiem „dusa, cłowiek...“, ani z kurpiowskim „biały, psiwo“ (zamiast biały, piwo). Trudno też przyjąć, iżby wiślanie byli pochodzenia jeszcze bardziej oddalonych ziem polskich i by stamtąd czerpali słownictwo i wymowę. Raczej spotkać można ślady wpływu okolic Karpat. Szereg wyrażeń z zakresu słownictwa szłańniczego, jak n. p.: juhas, bacza, koleba, mulka, grudka (sera), kyrdel, groń, wyrch, hore, Marena, Jano, Jónek i t. d. świadcząby za tem. Charakter dialektowy gwary polskiej jest poza tem bardzo swojski, bez wyraźnego wpływu okolicy, choćby najbliższej. Z zakresu tego podamy później szereg ilustracji, pozostawiając bliższą ocenę czytelnikowi.

Z wyrażeń staropolskich, używanych tu dziś jeszcze, wnioskować można o znacznym wpływie literatury Reja i Kochanowskiego. Pospolite są bowiem takie wyrażenia, jak: gazda, gaździna, szuhaj, statek (bydło), bachórz (zołudek, dziecko), żeń (goń), żeniesz (gonisz), kóc, próc (bóść, pruć), kole (około), szepce (szepcze), kłopoce (kłopocze), daci (da-ti), lity (jednolity, jakby z jednego ulany, od dawnej formy „lijać“ oraz „lić“), niechej (niechaj w znaczeniu zostaw, ruszaj), wszystko, wszystko; wždy zawždy, łoni, gonić, winić, chudy, chudoba, borak, nieborak, z nowutku (poznawać garnek), czeladź, czeladka, wrzeszczeć (beczeć), tkać (do brzucha), k' temu, k' sobie, statecznie, statkować se (statecznie postępować), lelija, czupryna, chłódek, namaścić (potłuścić, tłuszczem okrasić), pacholek, gwarzą, ptacy lub ptocy (ci), insze, nadzieje (nie tracić), nie lza (nie można), inaczej, hamować się, żałość (smutek), pierwej, prózna, weźrzeć, żałościwie (boleśnie), sie, niebogi

(ś. p.), wszędy, miękcyj, bych (bym), łacno (łatwo), barżyj (bardziej), tesknica, nie pochybny, zwierz, barzo (bardzo), ja-bych, więtszy, lichy, spórny (nieposłuszny, zły), leda jaki (byle jaki), horda, bieda ciśnie, nie płatno (nie warto), folgować, insze, zabył, kataceteztam (gdzieżby tam), kajsi, pote (potem), wieche, teskliwy, skamienieć, z ziemie, odmienieć, szczyre, więnie, ktosik, warzyć, jeść, chycić, ziem i t. d. i t. d.

Wiślanie stykali się ze Słowakami, Węgrami, Morawianami, mniej z Niemcami, ale obcych wyrażeń lub zwrotów bardzo mało tylko sobie przyswoili (basama, basam ci, teremtete, kyć, kyć, cesta, kludzić, cera, ancug, wórszt, cug, pucować, hajcować i t. p.).

Wisła, otoczona zalesionymi górami ze wszystkich stron, skupiała w łonie swoim mieszkańców swoich, dopóki mogła ich wyżywić. Gdy jednak zabrakło już chleba, zaczęli Wiślanie opuszczać zagony swoje w poszukiwaniu zarobków. Wychodzili na Węgry, Morawy, do Prus, a nawet do Ameryki. Na Węgrzech i w Ameryce pozostało ich sporo. Powracający robotnicy nie zanieczyszczali języka rodzinnego, ponieważ wstydzili się „szmatłać językiem po innemu“ przed ojcami i dziewczętami. Zato większy był wpływ ujemny ze strony napływu różnych „kulturträgerów“, terytoryzujących ludność tutejszą, lub pobratymczych nawet Słowaków (druciarzy, obchodzących wioski) i Morawian (nasionkarzy). Służba w wojsku austriackim nie potrafiła również wykoślawić języka macierzystego w tych stronach. Zawdzięcza to wiślanin naogół swojej konserwatywności i przyzwyczajeniu do życia bez zmian większych.

Natomiast pod innym względem uległ on znacznie, szczególnie mężczyźni. Wracając do wioski, przybywali oni coraz częściej w strojach nawpół miejskich, ponieważ w miejscach pracy innych kupić sobie nie mogli, a swoje zużyli. Strój góralski męski zanika tu prawie całkiem.

Warto więc tem bardziej zachować z niego, co się da i choćby tylko nazwy jego części. Chodził sobie góral w „czopce sznórówce“ (kapelusz o szerokiej strzesze z białym sznurem), w długiej po pięty koszuli grubopłóciennej, wiązanej w „obujku“ sznurkami z haftem, portki płócienne w lecie, a wałaszczoki sukienne w zimie lub także w lecie, „bruclek“ z mnóstwem guzików, czasem ze srebra i guńkę (z brunatnego sukna), oszywaną włóczką kolorową. Na nogach nosił kyrpce ze świńskiej lub „juchtowej“ (owięziej) skóry i kopytka białe z czarnem naszymi nad kostkami, łączone z portkami lub wałaszczokami zapomocą „nowłok“ długich, białych lub czarnych (z koziej sierści). Głowy strzygano „po słowacku“, t. j. podcinano do okrągła.

Kobiety ubierały się w „ciasnochę“, t. j. w koszulę z bardzo obcisłym stanikiem, na którą wkładano „kabotek“ lub delikatniejszą „koszulkę“ z wybuchconemi rękawami, z haftami u łokci, oraz kieckę z czarnego, gęsto fałdowanego „kartonika“. Na nogi wciągały „zbierane“ (fałdowane wpoprzek), około 2 metry długie pończochy koloru czerwonego i wdziewano kopytka wełniane i kyrpce skórzane. Porą letnią oblekano w dodatku „lochtuszkę“ albo „jasklę“, w porze zimniejszej dodawano „hackę“ lub kozuch. Krój strojów tych odrębny jest cośkolwiek od strojów góralskich Istebnej i Brennej, wiosek sąsiednich.

Zwroty językowe.

Idąc w odwiedziny do sąsiadów lub dalej do wsi, wypowiada góral przy wejściu do „izby“ pozdrowienie: „Daj Pon Bóg dobry dzień“, na co otrzymuje odpowiedź: „Dejż to Panie Boże!“ A jeżeli zastaje domowników przy posiłku za stołem, to dodaje jeszcze: „Racz Bóg żegnać“ (pożegnać), na co jedzący odpowiadają słowami: „Dziękujemy, pójcie ku nom“. Gość rzadka korzysta z tego zaproszenia. Niechcący jeść dziękuje za zaproszenie i tło-

maczy się tem, że on już po jedzeniu, ale nie siada. Po chwileczce obustronnego milczenia odzywa się gość pierwszy prośbą: „Dejcie siednąć“. — „Siedźcie“ — odpowiada gospodarz. Tu urywa się rozmowa i następuje obustronne milczenie. Po chwili zauważa gość głośno: „Dyć sie mie ani nie pytocie, pococh przyszeł“, poczem następuje dialog w następującej formie:

„Cóż tam u was nowego, zdrowiście tam przy groniu?“

„Dziękuję, na doś tam. Wszytcsmy przy zdrowiu, chwała Bogu. A wy jakóż tu?“

„Na też tam, też, dzierzmy się jak mogemy... Cóż was też tu przygnało?“

Teraz dopiero wyluszcza się właściwą sprawę, dla której się przybyło.

Przyjść i zaraz rzecz chcieć załatwić bez takiego wstępu „nie uchodzi“ i mówi się o tem, że ten lub ów przyszeł jakby „soli pojcząć“ (pożyczyć).

Góral lub góralka, zagadnięci na drodze o cel swej podróży, odpowiadają najczęściej wymijająco: „Na ide uoto do góry“ (w górę), albo: „Trzeba mi na dół do wsi“. Znajomi sobie przechodnie przy spotkaniu się na drodze tak się mniej więcej zagadują:

„Kanyż, kanyż kumotrze?“ (ciotko, uujcu i t. p.)

„Na uoto niedaleko“ (oto niedaleko).

„Cóż tak uciekocie, czy sie mie boicie?“

„E, nie drzystej, cóżbych sie cie boł, jak chcesz, to pódź kąsek ze mną“ — i t. d.

Zwykłe pozdrowienia brzmią: „Dzień dobry“ lub „Dej Pon Bóg dobry dzień!“, „Zostońcie z Bogę!“ i „Z Panę Bogę!“ jako odpowiedź. Pracujących ludzi prozdrowia się życzeniem: „Boże pumóz!“ na co ci odpowiadają: „Boże usłysz!“.

Włóczegów nazywają „wędrolami“, smykami, łatami, cudzymi. Letników kąpielorzami, letnikami, panami, gośćmi.

Kobiety mówią jeszcze często do siebie w rodzaju męskim: „Hana, każeś był?“, „Mareniok, cóżeś taki dziwny?“ (śmieszny) i t. p. Z imion chrzestnych żeńskich uży-

wa się głównie: Hana, Marena, Jewa, Zuza. Z imion męskich: Paweł, Jonek, Jędryś, Jewa, Michał. Są to najpospoliciej używane imiona chrzestne. U dzieci, stosowane w formie zdrobniałej, wyglądają następująco: Hanka, Haniczka, Marenka, Maleczka, Jewka, Jewulka, Jewiątko, Zuzka, Zuzioczek, Zuziątko, Pawliczek, Janiczek, Jędrysek, Jurek, Jureczek.

Andrzej Podzorski.

(Ciąg dalszy nast.)

S Z A Ł A S.

Urok i dzieje.

Jakiś niepojęty urok, jakaś potęga tajemnicza zda się królować od wieków w naszych Beskidach. Lasy i lasy, dziś już niestraszne, lecz dawniej trudne do przebycia. Tam szum potoków, tu gwizd wiatru, szmer gałęzi, świergot ptasząt i brzęk owadów nastroją człowieka w jakąś wyższość, w jakiś czar. Dusza dostaje jakby orlich skrzydeł i chciałaby jakby wyrwać się z ciała i ulecieć w przestworza.

Same zaś góry od wieków stoją poważne, jakby powiązane razem, tu i tam potokami przecięte. Góry te, to — jak mówi dyr. Popiołek — śląska Ukraina, w którą chronili się wszyscy ci, którym za ciasno i niewygodnie było tam w równinach. Te puszcze leśne były własnością książąt cieszyńskich z rodu Piastów, a wtedy swobodnie można było w górach się osiedlać. Jednak w roku 1654 dobra te przechodzą na Habsburgów, a ci poczynają ograniczać prawa górali. Najstarszy kontrakt istnieje z roku 1669, lecz jeszcze do roku 1756 wolno było wypasać bydło i wycinać drzewa, ile kto chciał. W tym jednak roku wydano ustawę leśną, zalecającą wprowadzić w lasach gospodarkę racjonalną; od tego też czasu prawa chłopów stają się coraz bardziej ograniczone. Toczą się spory, zjeżdżają komisje, aż w roku 1800 wytyczono granice między góralami i Komorą, granice między szalasami.

Szalas

była to polana między lasami, na której górale wypasali swe bydło. Szalasów było w naszych śląskich Beskidach 30, o 22.000 morgach, najmniejszy miał 200, a największy 1600 morgów.

W roku 1853 było na tych szalasach 25.000 owiec i 2000 kóz. Od tego czasu jednak szalasy chyłą się ku upadkowi; dziś prawie że znikają z naszych gór, nikną też ubiory góralskie, zwyczaje, pieśni, legendy, opowiadania giną w zapomnieniu. Prawdziwy strój góralski pozostał jeszcze w trzech wioskach: w Istebnej, w Jaworzynce i w Koniakowie. Tutejsi też obywatel najwięksi stacjali boje o owe szalasy i to nietylko z Komorą Cieszyńską, lecz jeszcze częściej ze Słowakami. Tutaj przez wieki walczono z Węgrami o południową granicę Śląska. W roku 1800 na mapie Wielanda, jak mówi prof. Romer, granica śląska sięgała do potoku Oszczadnickiego, później przechodziła potokiem Skaliczonki.

W naszych trzech wioskach było szalasów kilka, nazwy ich: Wielki i Mały Dupny, Kubalonka, Skąła, Stoczek, Rzawka, Śliwkula i Siwoniowski.

Bydło pasło się na bezleśnych grzbietach górskich, polanach wśród lasów i w lasach samych. Chłopi, używając pastwisk od wieków, przyzwyczaili się uważać je za swą własność, a gdy Komora zaczęła ich prawa ograniczać, chłopci nie chcieli ustąpić, usuwano ich przemocą, na opornych spadały kije i więzienia; wobec groźnej nieraz postawy chłopstwa używano nawet wojska. Walki o szalasy trwały do dziś dnia.

Po rozgraniczeniu w r. 1853 prawo do szalasu miało kilkudziesięciu obywateli; prawo to nazywano „wysadą“, a właściciela szalaśnikiem; wysad mógł mieć szalaśnik kilka. Zwykle trzeba było postać na szalas 7 owiec, 1 kozę i 1 krowę na jeden dzień „baczowania“; o ile ktoś tyle wysady nie posiadał, musiał od sąsiada

wynajmować brakującą ilość, mógł jednak posiadać więcej dni, o ile miał więcej wysady.

Mieszanie.

Piosnka góralska mówi: „Gdy świeży liść okryje buk...” Zwykle z początkiem maja w wyznaczony dzień spędzano bydło na szałas; dzień ten był w górach uroczystym świętem. Owce i kozy odłączono od młodych, pędzono gromadkami przez lasy na polany. Po spędzeniu wszystkich sztuk, najstarszy szałaśnik mieszał owce i wprowadzał je do „koszora”. Na równej polanie wbijano młodą jodełkę, pięknie umajoną; szałaśnik brał owcę najpiękniejszą (zwykle „kornuntę”, t. j. owcę z rogami), obchodził z nią kilka razy około owej choinki, inne owce szły za nim, a lud zebrany tworzył koło. Przed choinką szałaśnik klękał, odmawiał głośno modlitwę, a lud śpiewał pieśni religijne.

Następnie przez ogień we wrotach wprowadzał owce w „koszor”, t. j. ogród z „tynin” na polanie, w którym bydło nocowało; koszor codziennie przestawiano, przenosząc „krzasła” i koły. Koszor składał się z trzech części, dwie dla owiec, jedna dla krów. W mniejszy wpędzano owce przed udojem, skąd wypędzał je chłopak „pyczarzyk”, starając się na ostatek zostawić owcę białą, gdyż w przeciwnym razie dostał czarnego sera. Przed otworem w płocie, zwanym „strągą”, siedział owczarz i doił owce do „gielat”. Następnie podobnie postępowano z krowami. Potem odbywał się pierwszy udój i pomiar mleka każdego gospodarza.

Baczowanie.

Owce dojono do „gielat”, krowy do szkopców i konewek; wszystkie naczynia na szałasie były drewniane. Mleko potem wlewano do „butyr”, zaprawiano „klogiem”, a po stwardnieniu zbierano na płóciennie chusty, zwane „szatami”, a mulkę „żentycę” gotowano na kotłach miedzianych przed „kolybą”. Po ugotowaniu žen-

tycę rozdzielano w pięknie rzeźbionych „czerpokach” pomiędzy zebranych; tak samo rozdzielano pierwszy słodki ser.

Następnie szałaśnik wyznaczał dni baczowania dla poszczególnych gazdów. Przez pierwsze dni baczował sam szałaśnik na „utrasy”, t. j. podarki, które otrzymywali urzędnicy Komory (województwie), doglądający i rozstrzygający spory, leśnicy, by pozwalali na pobieranie drzewa na opał i spisujący sztuki bydła; nie zapomniano także o ks. proboszczu, kierowniku szkoły, wójcie gminnym. Pożytek dalszych dni zabierali już baczowie, którzy byli obowiązani przynieść dla pasterzy („owczorzy i dżywek”) pożywienie. Przyjeżdżano zwykle furami. Przywożono na obiad kapustę i wędzonkę w mleku gotowaną, lub poleśniki, ryż, gałuszki, na wieczerzę i śniadanie placek.

„Kolyba” (koliba),

to chata szałaska, a raczej to dach w szczycie związany, kołami do ziemi przymocowany. Nad ogniskiem wisiał kocioł do gotowania żentycy; pod ścianą ława z drzewa dla owczarzbaczy, z drugiej strony ogniska na ziemi na paproci spali inni pasterze. Obok była jeszcze „kumórka” na przechowywanie naczyń. Po udoju wlewano mleko na „koryta”, o ile odbierano śmietaną, do „butyr”, o ile ser. Żentyca także bywa lepsza z wierzchu; tę zwano „hórda” i tę jedli pasterze z plackiem na wieczerzę i śniadanie; gorszą wlewano do „oboniek” i zwożono do domu. Na płocie komórki leżała „trąba szałaska”, na której owczarz wrywał rano i wieczór, albo też na trwogę w razie napadu „miechów” słowackich lub wilków. Przed „kolybą” była „halbijka” dla psa. Kolybę dwa lub trzy razy do roku przenoszono, by polany jak najwięcej „wykoszorzyć”, t. zn. wygnoić.

Zwykle każdemu gospodarzowi-baczy przypadało raz w miesiącu baczowanie.

„Rosod“.

Wiosenny dzień dawniej przynosił około 20 kg masła i 40 kg sera-bryndzy. Ser w domu kładziono na deskę, a po tygodniu „kruszono“ i układano w „sondku“. Około św. Michała ściągano owce na „łąki“, a tu smaczne były „szałaskie mieszanki“. W kotle gotowano ziemniaki i gneciono (mieszano) „czoskiem“, a do środka wlewano śmietaną. Chłopcu „pyczarzykowi“ dawano „czosk“ do trzymania, potem prędko porywano i zostały mu pełne garści mieszanki. Żentycę chłodzono wielką drewnianą „warzechą“ — łyżką, biorąc na nią ze 3 litry naraz i przelewano 60 razy.

Na łąkę każdy chciał przyjąć w jesieni szałas, by pole wygnoić. Koło św. Jądwigi odbywał się „rosod“, zwrot gospodarzom owiec. W tym dniu następowały wszelkie rozrachunki i zapłaty. Owce poznawano po „znakach“, wycinanych w uszach. Owce sobie gospodarz sam kąpał i strzygł wełnę.

Przez zimę wełnę przerabiono na sukno, a więc „cichrano“, „kręplowano“ i „wałkowano“. Z białego sukna szyto nogawice i kopyta, z czarnego gunie; z wełny, sierści kóz kręcono „nodkońci“ na owijanie kopyc na nogach.

Dziś

istnieją jeszcze tu i ówdzie szałas, lecz maleńkie, nie dające nawet dochodu na zapłacenie pasterzy. Dawniej pod „kolybą“ palono watry, a kłody bukowe tliły często miesiąc, watry nie gasły od wiosny do jesieni. Dziś na ugotowanie żentycy trzeba drzewa kupić. Lecz co dawniej było możliwe, dziś już nie wróci. O owych złotych czasach dziś gazdowie z fajkami w ustach w długie wieczory zimowe słuchają opowiadań starych baczów-owczarzy.

Opowiadania te o walkach z „miechami“, z wilkami lub niedźwiedziami, pod koszor się podkradającymi, należałoby zebrać i opisać, gdyż to bogaty i obfity ma-

terjał, a niestety ginący. Brak nam Sabały, brak ś. p. Jana Łyska, który pracę rozpoczął. Sęk.

Z teki ś. p. Jana Łyska.

Stary Zwączor.

Pewnego wieczora w początkach grudnia głuchy szelest przeleciał od granic węgierskich. Przedał się bez wielkiej mocy w sobie przez las, załomotał cicho w opłotkach sadyby ludzkiej, jak złodziej ostrożnie okrążył chałupę, potem poszedł — przewiał.

W lesie zaległa cisza.

Ziemia leżała otulona w śniegi. Od owych pól Zwączorowych, aż po ostatnie, niewidziane, w sinym jasno-błękitnie ukryte kresy polany, po ostatnie miraże mgieł mroźnych. Straszliwą władczynią — o bezgranicznej mocy — zdawała się być właśnie owa cisza, którą pozostawił po sobie wiatr — tułacz węgierski.

Aż za owym pierwszym, słabym, lecz groźnym wysłańcem burzy śnieżnej — przyszedł drugi. Między szopami zaskrzypiały rozchwierutane spojenia belek. Potem, jakby w ogrodzeniu przysiadło coś w zakątek i zachichotało śmiechem, wydartym z głębi aż do ostatniej łzy spłakanej duszy — w której już ino rozpaczliwy a pusty śmiech z samej siebie zostaje.

Zwierz leśny i ludzie wiedzieli, co znaczy owo skrzypienie i chichotanie po zakątkach. Był to zwiastun wielkiej śnieżnicy. Czasem w głębi lasu zaskrzypiała podobnie jodła, rozszczepiona jeszcze letnią porą uderzeniem pioruna. Podobnie chichotało w zapadłych, w wiekuistych rumowiskach, pełnych głazów i pni połamanych.

Człowiek w takiej chwili chronił się do chałupy ku ognisku, a zwierz czmychał co tchu do legowiska.

W pewnej chwili u końca polany pokazał się czarny punkt. Zwolna, zwolna, kołysząc się w lewo i w prawo, w miarę, jak się przybliżał, rósł. — Co się wiatr wzmocze, to ów punkt podniesie się, wydłuży ku niebu, przystaje i słucha. Co się uspokoi, mizernieje w sobie, huzia się w lewo, w prawo, a idzie krok za krokiem, — prosto ku Zwączorowej chałupie.

Mizerny tułacz! Nie boisz się tego, co ten wiatr wróży? Życie sobie zbrzydziłeś? Idzie, idzie, huzia się w lewo, w prawo; idzie zgoła na nic nie dbający, a tylko przeznaczeniu swemu, by iść — wierny aż do ostatka.

Stary Zwączor siedział na ławie. Stara myśl wysilała się w przypominaniu sobie czegoś, dawno w pamięci zdechłego, usiłowała budzić jakieś momenta, wydrzeć je na to światło, którem całą izbę darzy dobrotliwa watra na „nolepi“. Oczy starego, w ów płomień wbite, nabierały blasku. Lice, zorane setkami bruzd, poczerwieniały. To lice i czoło, które nie miały już miejsca gładkiego, czerwieniejąc, zacierają na sobie bruzdy zgrzybiałe.

W miarę, jak wspomnienia jęły się wydobywać z jakichś dawno popiołem zasypanych otchłani, usiłowała się na starczą mizerną twarz — dawna męska siła i zdrowie. Jakiś wewnętrzny ogień rozniecał ciepło w wnętrzościach tego szwaba. Już widać, coś wygrzebał..., uśmiecha się, zeschnięte wargi szepcą:

— Józef — Motyka!

— A dyć co?

— A pocóżes haw prziszeł tak wczas, Józef?

— E, dy już ty wiesz poco?

— Trzeba, Jurku! — Ku słupcom, pi-stolce masz wyrzutowane?

Wtem jakieś stąpanie koło chaty przerwały staremu marzenia. Przyszedł do siebie. Powstał i poszedł do okna.

Koło płotów wałęsał się niedźwiedź. Ten sam, którego Zwączor widywał na

wałach jeszcze za lat chłopięcych. Ta sama podkowa biała, znak niedźwiedziej zgrzybiałości, poza uszama. Niedźwiedź kręcił się koło płotów, obwąchiwał stare koły, przystawał.

Zwączor po raz pierwszy w życiu poczuł w sobie wyższość nad tym straceńcem. Dźwignęła się w nim duma, na widok, który miał przed sobą.

— Nie jezdech ci jo taki, jako ty...

Tu stare usta skrzywiły się w szyderczy uśmiech.

— Hehe! Chudziatko! Ruszyło cie z zimownika.

— A parze haw, jak mi haw ciepło. Ani baranigo kozucha nie trzeba... Hehe... teraz się starała, hehe, teraz się, teraz... a tam mróz, aż las stęka...

Niedźwiedź podniósł przednie łapy i prosto w twarz Zwączora błysnęły ślipiami. Mruczał, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Hej! stary! Dobrze ci sie tam dziwać na mnie z poza szyby. Nie śmiałyś się raczy, Zwączor! Odwrzyłyś dźwiyrze. — przyjon, chynółyś pod ławę garść słomska...

Ale twarz poza brudną szybą nie zmieniła wyrazu. Oczy błyszczą w uśmiechu. Bezzębne usta nie hamują się w okazywaniu durnej radości z powodu biedy dobrego znajomego. Już nawet w uśmiech lekceważenia się ściągają.

— Hehe! Terosz sie? Tak nóm — widzisz — na starość przypadło. Mie ogień na nolepi — hale ogień! Watra, jak wtedy w nocy na sałaszu, dyś to kole nas szeł... Haha! jeszcze! puścić? Widzisz go? Dyś sie w lesie upląg, to se tam zdechnij! He, he, he, he, he, he, hi, hi, hi...

Niedźwiedź mruknął coś półgłosem, jakby rzucił słowo wzgardy i poszedł. Poszedł polaną Zwączorową i wkroczył w bór. Raz się jeszcze obejrzał. Stary zbój ciągle wzywał oknem. Promień księżyca świecił na ten łeb, wyssany przez wiek i niesłychane trudy. A chociaż nie było już można rozróżnić ni oczu, ni ust,

ni lic, przecie szydercze znamię zdawało się być jasnym, jak owe plamy na księżycu; a chociaż schronisko zbója było już daleko, przecie śmiech błazeński nie zamarł w tej odległości. Tu niedźwiedź po raz pierwszy postanowił srodze się pomścić na owym wydze, którego dotychczas nie tykał przez wzgląd na jego starczy wiek i przez wzgląd, że Zwączor zawsze dotychczas okazywał mu pewien szacunek. Widywali się przecie. Podczas zbójnickich postojów w lesie, tyle razy on, niedźwiedź, podszedł pod obóz, by obaczyć, co tam tak świeci pośród pustków i co tam tak gra, aż tży z oczu idą. A to grał ten łotr, Jura Zwączor. Prawda, że tam oni nigdy nic z sobą nie mieli. Spotkali się kiedyś, to brwi zmarszczywszy, rozszli się każdy w swoją stronę. — Bo tak: Doł pokój, miół pokój. Co tam mie do niego, lebo jemu do mnie?... A teraz... Przy wiatrce siedzi — psioskura zatracona, a symnie się śmieje, zech na mrozie...

Tak myślał, idąc już głębią boru. Ani spostrzegł w zapamiętałej chęci zemsty, że jasną tarczę księżycy zasłoniła olbrzymia chmura, że szalony wichur zerwał się i szaleje wśród boru, że łamie stare jodły, wykracza potężne buki, że bór odwieczny idzie w gruz...

(Dotąd znalazłem na czysto przepisane, resztę z dwu notatek zestawilem.)

Naraz spostrzegł przed sobą przepaść nie do przebycia. Jej gardziel czarna otwierała się, jakby w zamiarze porwania i wchłonięcia w siebie wszystkiego. Cofnął się. Nad przepaścią olbrzymia kłoda. U kłody uwiązany powróż, a drugi jego koniec zaokrąglony w pętlicę. W pętlicy królik. Król lasu przystąpił już całkiem spokojnie w zamiarze obwąchania dawno zmarzniętego zwierzątka.

— Nic mi z ciebie! Zmarzłyś. — Chciał odejść w las, gdy, zrobiwszy za ledwie pięć kroków, poczuł, że coś go za szyję przytrzymuje. Stał. Znowu po-

ciągnął, lecz uczył, że go coś za szyję ścisła, jak gdyby chciało udusić.

Porwała go szalona złość. Wydał ryk, głośniejszy od wszystkich wichur i huków, łamanych śniatów leśnych i ruszył z mocą naprzód, ale zdradliwa pętlica werznięła się jeszcze głębiej w szyję. — Wówczas król lasu zaczął się siepać w rozpaczliwych wysiłkach, by niczem niepoohamowanemu gniewowi zrobić należyte ujście. Runął na ziemię, i w mig podrzucił się na 2 metry wzwyż, cofnął się, a potem z niesłychaną siłą skoczył naprzód. Spostrzegł, że kłoda ruszyła się. Krew ścięła mu się w żyłach od gniewu. To ta kłoda jest sprawcą jego nieszczęścia. Runął na kłodę, porwał ją w ramiona, jak piórko i rzucił w przepaść.

A śnieg padał i padał przez kilka dni. Z początku wichur miół drobniutkim, lecz ostrym prochem śnieżnym, lecz później ucichł. Śnieg spokojnie wielkimi płatkami kładł się na ziemię.

Ogarnął ziemię przykryciem dobroczynnym. Wchłonał w siebie zadane jej przez burzę rany...

(Praca powyższa jest niedokończona i nie wiadomo, co ś. p. Łysek miał na zakończenie. Pierwszy raz zaczęta ma napis: „Wilija u Zwączora“ i tam opis wnętrza chaty i Zwączora wraz z rodziną jest inaczey przedstawiony. Drugi tytuł nosi krótko zaczęta notatka: „Zbój i niedźwiedź“. Tytuł „Stary Zwączor“ miała mieć sztuka z życia zbójców naszych Beskidów z osobami: Stary Zwączor, Ewka, Zwączorowa, Michał od Jasia (siłacz), Kuźma (rozbójnik), Motyka Józek.)

Akcja:

Kuźma porwał Ewkę.

Ewkę cyganie zabili, chłopaka ukradli; uczyli grać.

Tymczasem Kuźma rabuje. Przyszędłszy, znajduje ciało Ewki na ziemi. Grze-

bie przy reisztaku w Czarnem. Podejrzanie Kuźmy na Michała od Jasia. Spalenie chałupy i wylupienie oczu. Przeczucie Michałowe. Spotkanie się Michała z Józkiem.

?...Kuźma złapany i powieszony...?

Ś. p. Łysek rozpoczął więcej prac, lecz dużo z nich zginęło. Bardzo dużo zabrał od rodziców p. Nardelli, czy też do „Głosu Ludu Śląskiego“ i prawdopodobnie będą gdzieś w zapomnieniu — pokryte pyłem — niszczyły się. Należałoby je wygrzebać. Sęk.

Owieżok

jest to taniec góralski, nazwa jego pochodzi od kierpców ze skóry owieżej; kto przez noc tańczył owieżoka, zdarł kierpce nawet najsilniejsze. Tańczy się go na jednym miejscu, więc w małej izbie chaty góralskiej mogło tańczyć kilkanaście par naraz. Na ławie w kącie na „gnotkach“ siedzi skrzypek i gajdosz, przed nimi staje tancerz i śpiewa jakąś piosenkę (bojtkę). Po pierwszej zwrotce woła tanecznice, która stoi w sieni lub koło drzwi, muzyka gra śpiewaną bojtkę, tanecznik zachodzi kołem, tymczasem wywołana zbliża się i także kołem chodzi.

Naraz robi tańczący nagły obrót, porzywa tanecznice i na palcach prawej nogi obraca się w kółko, lewą tupiąc za każdym krokiem; tańcząca chodzi koło tancerza. Po kilku obrotach już razem stają przed muzyką, która przerywa granie; śpiewają dalszą zwrotkę. Tymczasem inne pary ustawiają się obok, często pomagają śpiewać, zachodzą i tańczą wszyscy. W czasie jednego kawałka często kilka razy zmienia się piosenki, a gajdosze muszą pochwycić nutę. Kawałek taki trwa często pół godziny, potem zmęczeniu i spoceni tancerze piją, a tancerki

uciekają do sieni ochłodzić się. Dobry śpiewak często sam komponuje zwrotki.

Znowu okazuje się potrzeba człowieka-muzyka, któryby owe piosenki spisał, zharmonizował i dla przyszłości zachował. Przez niniejszy artykuł chciałbym szczególnie młodych nauczycieli-„muzyków“ zachęcić do pracy. Sęk.

Materiały ludoznawcze.

Zebrał Franciszek Niesłanik wśród ludu Lipowca w ostatnich latach.

1. Używać jednej koszulki do chrztu dla wszystkich dzieci w jednej rodzinie, aby się w późniejszych latach kochały.

2. Chrzestna matka po powrocie od chrztu otwiera przy nowoochrzconem dziecku kancjonał. Gdy kancjonał otwory się przypadkowo tam, gdzie są pieśni pogrzebowe, dziecko to niedługo pożyje, gdy zaś tam, gdzie są pieśni radosne i wesole, wtedy będzie zdrowe i szczęśliwe.

3. Po powrocie od chrztu powinna matka chrzestna zaraz zdjąć ubrańko nowoochrzconego dziecka i powiesić je na haku u powały (na najwyższym miejscu). Dziecko, którego ubrańko w ten sposób wywieszono, zdobędzie wysokie stanowisko w świecie i będzie bardzo cenione.

4. Ubrańko dziecka nowoochrzconego po powrocie od chrztu należy wywiesić na słońcu — takie dziecko będzie szczęśliwe.

5. Dziecku, które przyszło na świat z dwoma zębami, należy włożyć do ust kawałek drzewa. Jeżeli poda mu się do ssania palec lub pierś, wtedy, jako mora¹⁾ chodzi nocami ssać ludzi. Podając mu drzewo, chroni się ludzi od tej przykrości, gdyż dziecko takie ssie potem drzewo.

¹⁾ Duch, który opuszcza ciało człowieka w czasie snu i dręczy śpiących ludzi.

6. Zdarzyło się, że taki człowiek-mora przyszedł w nocy do pewnej kobiety. Kobieta owa jednak przebudziła się, a widząc zbliżającego się do niej, rzekła: „Przyjdź jutro, dóm ci kwaku²⁾”. Znała bowiem tajemnicze znaczenie tych słów. Mora taka przychodzi w następną noc po przyrzeczonej rzecz. Rzeczywiście człowiek-mora przyszedł i milcząc, czekał, póki nie otrzymał obiecaney rzeczy. Od tego czasu nie pokazał się więcej.

7. Gdy mora ssie człowieka, trzeba chwycić się za palec u prawej nogi. Wtedy człowiek odzyska przytomność, a mora zniknie. Inna kobieta, ssana przez morę, chwyciła się za palec u prawej nogi, przebudziła się i rzekła do mory: „Przyjdź jutro, dóm ci chleba z masłem.” Ale mora wzgardziła podarkiem i rzekła: „Jo cie nie pytom o to, bo go móm dość.” Ale to poskutkowało, bo mora natychmiast znikła.

8. Ludność wierzy, że istnieją kobiety-czarownice, które mogą szkodzić bydłu przez swe czary. Jaki środek przeciw tym czarownicom? Otóż, gdy kobieta czaruje komu bydło, pokrzywdzony właściciel powinien natrzeć śmietaną nasadę dzwonów. Gdy dzwony te dzwonią na Aniół Pański, dźwięk ich zmusza kobietę-czarownicę do uderzania głową o ścianę domu, póki ich głos nie umilknie. W ten sposób można się zemścić na czarownicy.

9. Pewien gospodarz był przekonany, że ktoś poczarował jego krowom, bo nigdy nie mógł zrobić masła. Chcąc zrobić masło, musiał ogrzewać nową cegłę na blasze, a kiedy już była bardzo ogrzana, polewać śmietaną, a równocześnie śmietaną tę siec sierpem. W ciągu tego czasu musiał ktoś inny robić masło i wtedy się jedynie udawało. W przeciwnym razie mógł robić cały dzień, a masła nie zrobił.

²⁾ Karpziel.

10. Pewna kobieta szczyliła się zdolnością czarowania, przyczem zaznaczała, że odczarować nie potrafi. Potrafiła ona odebrać krowie mleko przez to, że wysuszała krowi nawóz na piecu. W miarę tego, jak ten zsychał się, krowa marniała.

11. Gdy ktoś „poczaruje“ krowie, trzeba jej mleko, wydojone przed wschodem słońca, zanieść pod jabłoń, rodzącą słodkie owoce. Gdy do niego wpadnie mucha (lub jakiś inny owad), należy jej oderwać skrzydło lub nogę, wtedy osoba czarująca utraci odpowiednią część swego ciała. (Skrzydło odpowiada ręce.)

12. Gdy po zachodzie słońca odnosi się mleko (co bardzo niechętnie czynią ludzie na wsi), należy odlać trzykrotnie trochę mleka, wtedy czarownica nie może zaszkodzić krowie.

13. Gdy pierwszy raz wypędza się krowy na pastwisko, powinien pasterz uderzyć krowę 3 razy w ogon karwaczem³⁾, używanym w czasie świąt Wielkanocnych. Karwacz ten powinien mieć pasterz, gdy pasie krowy w pierwszym dniu dopołudnia, poczem winien go spalić lub rzucić w wodę. Ma to zapobiegać gżeniu się krów przez całe lato.

14. Przy wprowadzaniu krów po pierwszy raz na pastwisko należy je trzykrotnie popluć, aby jej nikt nie urzekł. (Bardzo rozpowszechnione dotychczas.)

15. Gdy się daje bydłu paszę, należy z niej cokolwiek odrzucić, co również chroni od urzeczenia bydła.

16. Gdy zostanie trochę stawy po nakarmieniu bydła, należy ją pozbierać, co chroni krowy od utraty apetytu.

17. W dniu pierwszego wypędzania krów trzeba chwycić „krowkę⁴⁾” i za-

³⁾ Bat, upleciony z wikliny.

⁴⁾ Chrabąszcz majowy.

grzebać ją w kretowinie na polu sąsiada, który jeszcze krów nie wyprowadził. Wtedy krowy sąsiada się gzą, a krowy tego, kto to zrobił — nie.

18. Gdy się sprzedaje mleko po zachodzie słońca, należy do niego wsypać soli święconej, aby czarownica krów nie zczarowała.

19. Dziewczyna musi wymyć dno cebrzyka po użyciu, aby ją matka jej męża lubiła.

20. Gdy kury „piszczą“, wtedy będzie w domu zwada i krzyk, bo widzą nadlatujące złe duchy.

21. Gdy dziewczyna gwizdże, wtedy trzęsie się 7 kościołów.

SŁOWNIK.

bechnóć = runąć;
 betlejka gśl. lub betlymek ciesz. = szopka;
 brutfón-anie lub brutfania, anie = brytfana;
 butyra = naczynie duże z drzewa, u góry szersze, w którym robi się ser;
 cieśllica-e = siekiera;
 cichrać wełnę = rozciągać zbitą wełnę;
 corek-u = małe ogrodzenie z desek;
 chamręzi-io = chruście,
 czepańsko, a lub czepón, i = głowa pogardliwie;
 czuch, u = niemiły zapach, smród;
 czyrpok, oka = czerpak, naczynie drewniane;
 dyrbać = trząść;
 dźwiryze, i = drzwi;
 gążew, żwi = ogniwo łańcucha;
 gielata-ty = naczynie drewniane, u góry węższe, do którego się doi mleko;
 gorzoła, y = wódka;
 gmyrać = gmerać;
 gmeć-i = kiść;
 hakliwy = delikatny, czuły, obraźliwy;
 halbijka, i = drewniane naczynie dla psa lub prosiaków;
 hećzec = wpatrywać się w coś bezmyślnie;
 hławny = nadzwyczajny;
 hnet, hnetka, hnedziutko = wnet, zaraz;
 iść do legieru = iść na spoczynek;
 hyrtoń, onia = szyja, krtań, kark;
 jyny = tylko;
 jasień, enia = jesion;

klog, u = ciecz z cielęcego żołądka do kwaszenia mleka;
 kalnioczka, i = mętna woda;
 kajsi = gdzieś;
 klepocz, oczka = młotek;
 kierchów, owa = cmentarz;
 koszor, ora = ogrodzenie dla owiec;
 kowiorko, a = mały staw;
 krympłować wełnę = czyścić wełnę na zagiętych drucikach;
 kuniyrować = dokuczać;
 kwit lub kwitula = wódka, gorzałka;
 lónzochowity = suchotniczy;
 łach, a = próżniak;
 losek, u = lasek;
 lómp-a = smyk, utracjusz;
 meluzyna, y = istota nieziemska;
 mocka = dużo, wiele;
 mora, y = ćma;
 mrowiec, a = mrówka;
 niewieda = niewiadomo;
 niesucy = niezdolny;
 obónka, i = płaska beczułka drewniana;
 odbyrknóć = odbijać się (gazy z żołądka);
 oszychać się kim = wstydzić się za kogoś, wstręt czuć do kogoś;
 ograbka, i = ułamek;
 odkiel = odkąd;
 oteпно = posęпно;
 okruszyć lub skruszyć, np. okruszyło go = ciarki mu przeszły po grzbiecie;
 otrzepać = otrząść;
 pajta, y = rudera;
 piyrko = piórko;

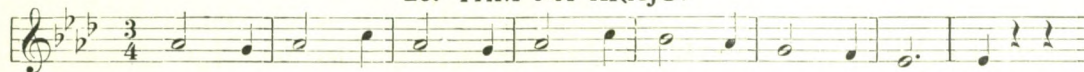
pijok = gardziel;
 pizność = uderzyć;
 pawłacz, czy = chór, galerja w kościele;
 poleśnik, a = placek ziemniaczany, pie-
 czony na listku kapuścianym;
 porlawy = żmudny, zabierający dużo
 czasu;
 porwóz = powróż;
 pódź haw = chodź tutaj;
 posel = dotąd;
 praszywa żaba = ropucha;
 pónść = pójść;
 przyplichcie się = starać się do kogoś
 zbliżyć;
 przociel = dalszy krewny;
 pyrdelónka = zupa powstająca przy ob-
 warzaniu kiszek;
 pyrlik, a = młot duży;
 rufiacki = bluźnierczy;
 ryszawy = rudy;
 sakóm pikóm albo sakómpak = razem,
 w całości;

skłagać = zbić w jedną masę;
 sóndek, ka = beczułka;
 śniat leśny, śniatu = pień drzewa;
 u śniatu = u samej ziemi, u spodu;
 szereggarze gśl., tragarze ciesz. = belki po-
 wały;
 tróm, u = pień, kłoda;
 uplągnąć się = urodzić się, wyraż. po-
 gardliwe;
 szolontać się = szamotać się w tańcu;
 szkuwity = kosmyki włosów;
 wyltany = spróchniały;
 wyzozować = wyglądać z poza czegoś;
 zadziwać się = zaparzeć się;
 zaboczyć się = nachmurzyć się;
 zabyć się = zadumać się;
 zmortwieć = zamrzeć;
 zdrzyć = usilnie wpatrzeć się;
 zgrzutać = zgrzytać;
 żywobyci, cio = życie.



PIEŚNI LUDOWE.

20. TAM NA KRAJU.



Tam na kra - ju, przy Du - na - ju, dwór ma - lo - wa - ny,



Ko - la - secz - ka już go - to - wa, koń o - sio - dła - ny.

2. Niedaleko synek szwarny [:pod lipą stoi:]
[:I rozmawia se z dziewczeczką, co krówki doi:].
3. „Powiedzże mi, moja miła, [: czy chcesz moją być :],
[:A ja ciebie potem powiem, czy chcę z tobą żyć.“:]
4. „A ja ciebie, Panie, nie chcę, [:bo ty w karty grasz“:],
[:„A ja ciebie, panno, nie chcę, czarne nogi masz“:].
5. „To ja skoczę do Dunaju, [:umyję nogi:],
[:Panie, stracisz sto talarów, będziesz ubogi“:].
6. „Sto talarów, sto talarów, [:to jest niewiele:],
[:Panno, głowy nie czesałaś cztery niedziele.“:]
7. „Cóż ci, Panie, ó mój Panie [:do mojej głowy:],
[:Osiodłaj se swego konia a jedź do wdowy.“:]
8. „Ja do wdowy nie pojedę, [:ani do ciebie:],
Może ci się taki trefi, co pasie świnię,
Może ci się taki trefi, co cię ominie.“

Śpiewała Stefanja Zieleźnikówna ze Zarzecza.
Zanotował Emeryk Chroboczek, kier. szkoły w Wiśle Małej.

21. A JAK PRZYJDZIE WIĘC DO TEGO.



A jak przyj - dzie więc do te - go, Wez - nę so - bie I - gna - ce - go,

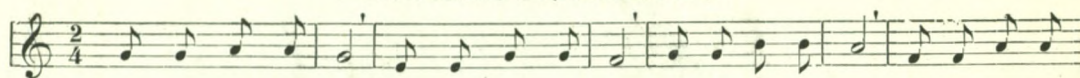


Bo on ta - ki ma - lu - sień - ki, Tel - ki, tel - ki, te - lu - sień - ki.

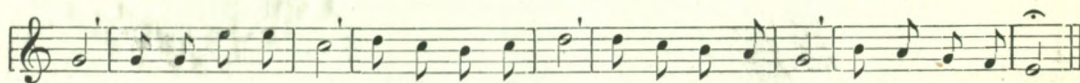
2. A z fartuszką końca mego,
Będzie odzienie dla niego.
Bo on taki...
3. A z noparstka palca mego,
Będzie cylinder dla niego.
Bo on taki...

Śpiewała A. Liberdzianka, zapisał Jan Tacina w Oldrzychowicach.

22. PEWIEN RZEMIENIARZ.



Pe-wien rze-mie-niarz miał swe-go sy-na, Któ-ry mi-ło-wał cór-kę ze mły-



na. Pewien rzemieniarz, miał swe-go sy-na, Któ-ry mi-ło-wał cór-kę ze mły-na.

2. Stara młynarka się dowiedziała,
Swoją córeczkę utopić chciała.
3. Młody rzemieniarz się to dowiedział,
Rozgniewał się on, na wojnę jechał.
4. Stara młynarka pismo posłała,
Że jej córeczka dawno wydana.
5. Młody rzemieniarz pismo przeczytał,
Rozchorował się, za trzy dni umarł.
6. Młoda młynarka się dowiedziała,
Szła pod obłoki, tam się modliła.
7. Choćbyś ty tam był w piekle zawarty,
Musisz ty tu być tej to minuty.
8. Przyszło północy, słyhać parskanie,
Mego miłego konika rzanie.
9. Wstawaj ma miła, siadaj na konia,
Boś mi nie dała w grobie pokoja.
10. A wy rodzice bierzcie na przykład,
Nie zabraniajcie córeczki wydać!

Śpiewała Z. Wałachówna, zapisał Jan Tacina w Oldrzychowicach.

23. NAD JEZIOREM.

Smętnie.



Nad je - zio - rem sie - dzia - ła, do wo - dzicz - ki się pa - trza - ła,



wy - pa - trza - ła tam ry - bec - kę, co pi - ła czy - stą wo - dzicz - kę.

2. Rybko, rybko we wodzie!
Powiedz mi, gdzie mój miły jest!
Mój miły w cudzej krainie,
Tam inne dziółchy¹⁾ miłuje.
3. Rybka głowę podniosła,
Do dziółuchy przemówiła:
„Nie troszcz się, dziółcho, o niego,
Namów se synka innego.“
4. „Nie chcę synka innego,
Skoczę do Dunaju tego,
Skoczę do Dunaju tego,
Bo mnie jest teschno bez niego.
5. W pierwszym piśmie²⁾ poznał mnie,
W drugim piśmie pozdrowił mnie,
A w trzecim piśmie zdradził mnie,
We czwartym zapomniał o mnie.“

¹⁾ dziewczyny, ²⁾ liście.

Śpiewała 5. I. 1930 Teresa Langerówna z Wisły Wielkiej.
Zanotował Emeryk Chroboczek, kier. szkoły w Wiśle Małej.
(G. Śląsk.)



Komunikaty Redakcji i Administr. „Zarania Śląskiego“.

I.

Administracja „Zarania Śląskiego“ składa wszystkim swoim zesłorocznym abonentom serdeczne podziękowanie za popieranie kwartalnika i prosi o dalszą pamięć i krzewienie jego idei wśród znajomych. Zaznaczamy, że pismo utrzymuje się własnymi siłami, to też regularne uiszczanie prenumeraty może zapewnić mu jedynie byt materialny i podnieść je na właściwy poziom. Prenumerata roczna wynosi tak jak w roku ubiegłym 10 zł. Chcąc ułatwić P. T. abonentom jej wpłatę, dołączamy do każdego numeru чеки P. K. O. z naszym kontem.

II.

W Administracji „Z. Śl.“ można nabyć następujące wydawnictwa:

- a) Zeszyty i roczniki „Zarania Śl.“ z lat 1908—1912 po cenie 5 zł za rocz.;
- b) Zeszyty pieśni ludowych po 1 zł 50 gr za egzemplarz;
- c) „Iste Roki“, sztukę ludową dr. Farnika po 1.50 zł za egzemplarz;
- d) Widoczki (Góral, Klekotki, Moiczek, Medal na pamiątkę założenia Cieszyzna, Dr. Kazimierz Nitsch przy pracy) — po 10 groszy za sztukę.

III.

Coraz częściej zdarzają się wypadki, że kompozytorzy — nawet bardzo wybitni — dyrygenci i kapelmistrze czerpią do swych opracowań melodje i tekst pieśni ludowych z „Zarania“ bez podania źródła! Zaznaczamy, że „Zaranie“ czerpie swe materiały wprost z ust ludu i ma słusne prawo żądać od wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób korzystają bądźto z melodji, bądź też z tekstu, ażeby swe publikacje uzupełnili skromną chociażby uwagą: Melodja z „Zarania“ Nr.... Tyle się chyba „Zaraniu“ należy!

Z Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie.

Ostatnie Walne Zebranie Towarzystwa odbyło się w Cieszynie dnia 14 marca b. r. Towarzystwo, dzięki ruchliwości i pracy prezesa p. dyr. Franciszka Popiołka, rozwinęło w ostatnich czasach żywą działalność. Walne Zebranie wyraziło p. dyr. Popiołkowi uznanie za bezinteresowną pracę i wybrało go jednogłośnie prezesem Towarzystwa na rok następny. Dla uczczenia należytego pamięci pierwszego prezesa Tow. i jego założyciela ks. prałata Józefa Łodzina, Towarzystwo pracuje nad uporządkowaniem drogocennych zbiorów muzealnych, jakie po nim pozostały, a którym zagrażała zupełna ruina. Dzięki inicjatywie p. Prezesa Tow., otrzymano od magistratu miasta Cieszyzna dwie sale w domu Demłowskim na pomieszczenie zbiorów, do których je też natychmiast przewieziono. Praca nad ich inwentaryzacją i należytem uporządkowaniem wre w całej pełni. W jednym z następnych numerów „Zarania Śląskiego“ ukaże się artykuł o zbiorach muzealnych ś. p. ks. prałata Józefa Łodzina, na który P. T. Czytelnikom zwracamy baczną uwagę.